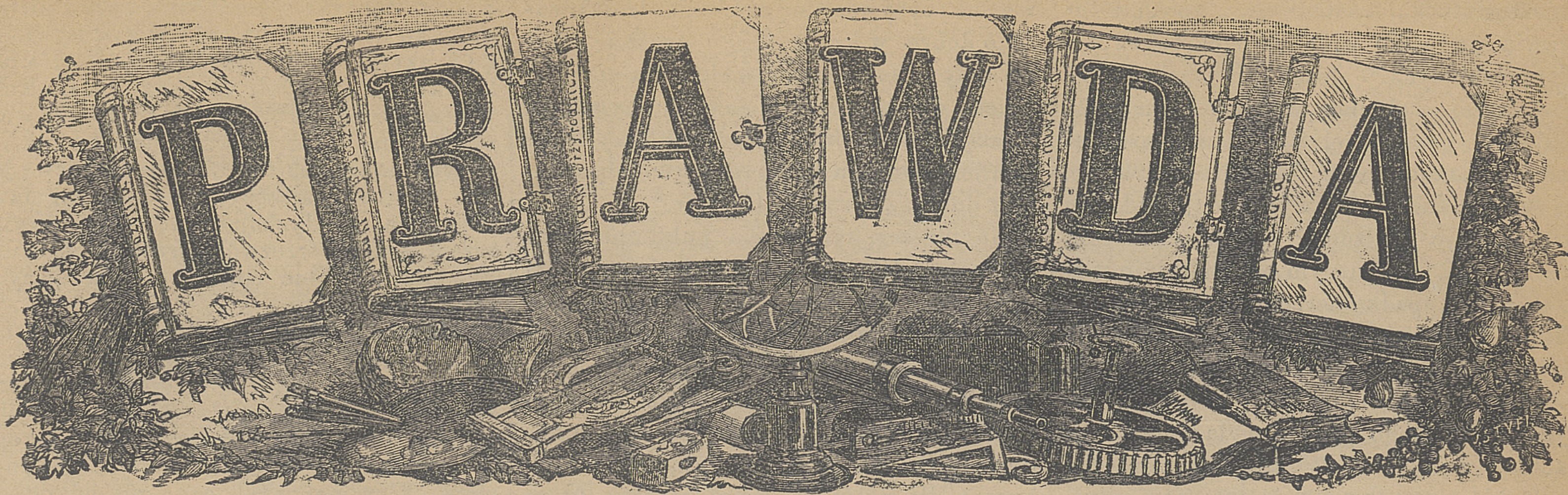
№ 51. Warszawa, dnia 17 (5) Grudnia 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się nowego roku, prosimy szan. abonentów o wczesne i, jeżeli można **bezpośrednie**, nadsyłanie przedpłaty według warunków w nagłówku **Prawdy** oznaczonych. Wtedy jedynie możemy żądaniom szybko i w porę zadośćuczynić.

Ponieważ **bezpłatnym dodatkiem** książkowym w pierwszym kwartale roku przyszłego będzie dokończenie II tomu dzieła Brandesa **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** przeto dla ulżenia nowoprzybywającym abonentom nabycia dwu poprzednich części (dodatków z kwartału III i IV b. r.) cenę ich z rs. 1 **obniżamy na kop. 50**.

PROCES Z TESTATORAMI.

Nie potrzeba wcale pożyczać argumentów od radykalizmu społecznego, ażeby dowieść, że zawarowane kodeksem prawo spadkobrania straciło dziś w pewnych wypadkach swą niewruszoną siłę. Gdy dzieci odziedziczą po zmarłym ojcu skromne mienie, nie zaprzeczamy im tego daru; ale gdy umrze człowiek bogaty i w testamencie zapomni o wszystkiem, prócz o swej rodzinie, nie pochwalamy ostatniej jego woli. Uznajemy za słuszne żądać od takich jednostek spłacenia dobrowolnej ofiary społeczeństwu i uszczuplenia dostatków spadkobiercom. Żądanie to objawia się ze szczególną siłą wtedy zwłaszcza, gdy umierająca ręka, w braku bliskich, woli rozsypać swój majątek między dalekich krewnych, niż go przeznaczyć na użytek ogólny. To też wstrętny dla moralności naszej przedstawiają widok synkowie, siostrzeńcy lub wnukowie, hulający za lichwiarskie pieniądze na rachunek śmierci bogatego ojca, cioci lub babki. Jeszcze za życia swych dobroczyńców pokazują im, jaki użytek zrobią z ich darów po śmierci. Dzięki tym złotodajnym patronom i patronkom rodzinnym odbywa się w społeczeństwie nieprzerwany bal hulaszczy gromadki teraźniejszych i przyszłych spadkobierców, topiących miliony w kuchniach, klubach karcianych, stajniach i buduarach półświatka. Niejeden elegancki młodzian ledwie zna lub ledwie znać chce swego bogatego stryja lub stryjenkę, którzy mu dostarczyć mają środków do wesołego życia. A ich to wcale nie zraża, wcale nie zniechęca do uroczystego poświęcenia w testamencie całego swego majątku kuzynkowi, który utrzymuje aż trzy naraz baletnice, lub kuzynce, która ma aż trzech naraz łaknących posagu wielbicieli. Gdyby przynajmniej na tem koniec, gdyby chociaż podobne spadkobrania odbywały się z wolą testatorów! Zdarza się przecie, że dziedzicami majątku bezpotomnego właściciela stają się ludzie mu nieznani lub nienawistni, posiadający jedynie prawo odległego pokrewieństwa. Na świst otwartego spadku zlatują się oni jak kruki dla łakomego rozszarpania łupu, który im się dostał bez żadnej, nawet rodzinnej zasługi. Kodeks nasz posuwając prawo spadkobrania aż do najdalszych gałązek genealogicznych, wytwarza stosunki i przywileje, które w żaden sposób nie mogą usprawiedliwić swej słuszności wobec nowszych pojęć społecznych i moralnych.

Odczuli to sami dość liczni w ostatnich czasach obywatele naszego kraju, którzy obdarzywszy skromnymi datkami krewnych, przyjaciół i służących, przekazali swoje bogate spuścizny społeczeństwu. Równocześnie wszakże z tymi faktami dobroczynności obywatelskiej występują zuchwałe objawy chciwości wydziedziczonego krewniactwa, które pomocą sądów usiłuje obalać testamenty, na korzyść społeczeństwa dokonane. Nie chcemy tą uwagą przymawiać spadkobiercom Wołłowicza, którzy istotnie mieli pewne słuszne powody do unieważnienia jego ostatniej woli, a jeżeli dotrzymają swego zobowiązania, wolę tę w użyteczny sposób spełnią; ale zatrzymamy uwagę czytelników naszych na świeżych, jeszcze nierozstrzygniętych losach zapisu Sierakowskiej. Jakkolwiek na wstępie testamentu zastrzegła, że po śmierci jedynego syna nie zostawia żadnych spadkobierców *obowiązkowych*, którym by się część lub całość jej majątku *prawnie należała;* jakkolwiek rozporządziła nim w posób najszlachetniejszy, jednakże znaleźli się ludzie, i to śród wskazanych przez nią egzekutorów, którzy mieli odwagę zrobić sądowy zamach na ostatnią jej wolę. W poprzednim numerze *Prawdy* wzmiankowaliśmy o postanowieniach zapisu. Niektóre z nich, odnoszące się do kościołów, szpitalów, stypendyów oraz darów rodzinnych zostały spełnione, zanim jeszcze szacunek dla rozporządzeń zmarłej nie uległ interesowi jej mniemanych spadkobierców. Ale część trzecia zapisu, rozdzielająca kapitał blisko pół miliona rubli, została przez pp. Karola Lipskiego (egzekutora testamentu) *właściciela dóbr* Strzygi, Ignacego Lipskiego *właściciela dóbr* Chodeczek, Józefa Lipskiego porucznika lejbgwardyi huzarów grodzieńskich — sądowem ostrzeżeniem wstrzymana. Sumy z tej kategoryi, oprócz dożywotnich pensyj w ilości 9,880 rs. rocznie, miały być przeznaczone na ratowanie cierpiącej ludzkości. oraz na tani kredyt dla „podupadłych obywateli i początkujących rzemieślników." Skutkiem wytoczonego procesu spełnienie tej części pozostaje w zawieszeniu, gorszącem społeczeństwo sprawą, którą ono tylko w duchu życzeń zmarłej rozstrzygnąć może. Że pp. Lipscy nie mają prawa do spadku, oświadczyła to wyra-

żnie testatorka, zastrzegając, że „nie zostawia po sobie żadnych spadkobierców obowiązkowych.“ Jeżeli więc wbrew jej stanowczej woli chcą wyprocesować część majątku, gwałcą jej prawo swobodnego rozporządzania nim. Wyobraźmy sobie, że Sierakowska zmartwychwstaje — komu przyznałaby słuszność? czy egzekutorom testamentu, pragnącym go literalnie wykonać, czy spadkobiercom, usiłującym go obalić? O brzmieniu *jej wyroku* nie wytpią chyba nawet ci ostatni. Na jakiemże więc moralnym gruncie opierają swoje pretensye, jeżeli z tego gruntu wyłączymy chęć osobistego zysku? Wyznajemy otwarcie, że takie zamachy na testamenty jasne, z rozmysłem sporządzone, uważamy za najskrawszy objaw chciwej śmiałości, za wyzwanie do walki całego społeczeństwa w imię interesów jednostkowych. Gdyby ktoś zapisał narodowi całą Kalifornię a jego daleki spadkobierca mógł wyrokiem sędziego pokoju ów zapis obalić, podziwialibyśmy odwagę takiego powództwa. Cóż dopiero mówić o sumach mniejszych, o pieniactwie z pomocą kruczków prawnych, o czepianiu się drobnych nieformalności, wreszcie o wydzieraniu biednemu społeczeństwu ofiar zbawiennych! Zanadto lekceważymy sobie wolę tych, którzy z grobu nie mogą jej bronić, zanadto obrażamy usta, które nie mogą przemówić, i ręce, które nie mogą nam łupu wydrzeć. Bądźmy wykonawcami a nie gwałcicielami testamentów. Słusznie te smutne fakty podznacza w naszem społeczeństwie *Korespondent Płocki*, gdy zpowodu zapisów Sierakowskiej powiada, że „w tej grze i zapasach z wymaganiami i ułomnościami prawa zręczność zastąpiła w zupełności cnotę, głos zaś wewnętrzny, nakazujący szanowanie woli niemogących już jej bronić, zamilkł w duszy, jak przebrzmiała nuta, jak niknące echo. Bezkarność jednak wobec prawa i sumienia własnego nie uwalnia od odpowiedzialności przed trybunałem opinii publicznej. Winna ona w imię moralności i interesu społecznego sądzić w ostatniej instancyi tych, którzy wraz z pojęciami dawnemi pozbywszy się sumienia, troskliwości o dobre w kraju imię i wreszcie ostudziwszy w sobie niewygodne dla nich poczucie obowiązków dobrego obywatela, zwalają ostatnią wolę zmarłych, krzywdząc tem ich pamięć a społeczeństwo obdarowane z dobrodziejstw obdzierając.“

Na nieszczęście opinia publiczna może potępić podobne objawy, ale nie może im zapobiedz. Skuteczny wpływ mógłby tu wywrzeć jedynie reforma prawodawcza spadkobrania, jeżeli nie ograniczająca testatora w stosunku do najbliższej, to chociaż w stosunku do dalszej rodziny, a nadewszystko zabraniająca jednostkom zdobywać dla siebie prawa w legatach, które otrzymały przeznaczenie społeczne. Dziś bowiem legaty takie nie posiadają dostatecznego ubezpieczenia a chciwość spadkobiercza zawsze wynajdzie słaby punkt, z którego może je wyważyć. Naród ucywilizowany, naród moralny powinien strzedz się tej niecnoty, powinien głośnym protestem swej opinii powstrzymywać zapędy chciwości, pragnącej pożywić się kosztem dobra ogólnego.

POLITYKA LUDOWA

i kierunek realistyczny w Rosyi.

Petersburg, 10 grudnia.

Przypatrując się chwili obecnej w Rosyi — chwili, którą słusznie nazwano „roboczą,“ zadajemy często pytanie: co stanowi jej myśl przewodnią? Brak źródeł z pierwszej ręki, konieczność posługiwania się wyłącznie gazetami utrudnia znacznie odpowiedź. Materyał dziennikarski przesiąknięty jest nawskróś polemiką, która zaciera jego rzeczywiste rysy. Zamiast faktów słyszymy tylko słowa: z jednej strony konserwatystów, buchających błotem, z drugiej — postępowców, filozofujących półsłówkami. Pierwsi dowodzą, że źródłem nieszczęść krajowych są wyłącznie warunki ekonomiczne; drudzy zwracają się z wyrzutem do politycznych. Czasem przebłyśnie perła literatury, albo dojrzały owoc nauki; ale najczęściej słuchamy polityki i ekonomii, uprawianych nie jako umiejętności, ale w zastosowaniu do praktyki — „po gospodarsku.“ Do polemiki tak się rzuciła tutejsza prasa, a z nią wykształcona publiczność, że nawet widz obcy musi brać chociaż bierny udział w tych starciach, przywdziewa barwę jednej ze stron walczących, z nią razem sławi i potępia. Oddychając tutejszem powietrzem, trudno trzeźwo patrzeć i samodzielnie zdawać sobie sprawę z otaczających objawów.

Ale trudności te nie są nieprzezwyciężone. Raz dostrzegłszy, że mamy do czynienia przeważnie z polityką i z gospodarstwem, staramy się odpowiedzieć samodzielnie, która z tych dwu stron życia ma przewagę w spółczesnych robotach rosyjskiego państwa. Czy polityka, czy gospodarstwo? Takie tylko zagadnienie jest dla nas dostępne, bo gdybyśmy z konserwatystami i postępowcami chcieli się puścić w pogoń za ideałami i rozstrzygnąć pytanie, co wymaga pilniejszych zmian, musielibyśmy ich mimowoli opuścić. Na pytanie, czem się państwo zajmuje, możemy odpowiedzieć śmiało i otwarcie. Więc zobaczmy.

Zadania kilkunastu nowoutworzonych komisyj obejmują więcej pytań ekonomicznych, niż politycznych. Ostatnie mają być uwzględnione w obradach pod przewodnictwem Kochanowa, ale tylko do wysokości władz prowincyonalnych, nie sięgając po nad stanowisko gubernatora. Dalej, komisya wojenna miała zmienić dotychczasowy ustrój siły zbrojnej, która pozostaje w luźnym związku z ustrojem cywilnym. Wszystkie inne komisye mają do czynienia z różnemi sferami gospodarstwa krajowego i działają w zakresie spraw czysto ekonomicznych.

Rosyjscy publicyści z dumą powtarzają spostrzeżenie, że Rosya liczy 80 z górą procentów ludności włościańskiej „posiadającej własny kawał ziemi i samorząd.“ Najbieglejsi skwapliwie podkreślają ten cudzysłów. Nie idzie im o ilość włościan, ale o *stosunek ich do innych warstw społecznych*, a stosunek ten w Rosyi wyraża się procentem, jak widzimy, olbrzymim, przewyższającym procent odnośny zachodniej Europy, nie wyższym wszakże od tego, który zachodzi u nas. Na tej przewadze warstwy ludowej nad innymi pokładami publicyści rosyjscy opierają swoją teoryę ludowo-demokratyczną. Tym faktem posługują się w swoich wywodach zarówno „zachodowcy,“ jak słowianofile: różnice ich

---

Przedostatnie posługi.

Szkic od ręki.

— Mamo! — odezwała się ledwie dosłyszanym głosem dziewczyna 19-letnia z posłania, na którem niejedną już widać przeleżała dobę.

— A co, dziecko moje?

— Mnie pali tak w piersiach, jak gdyby mi kto żaru do środka nasypał.

— Złoto ty moje, cóż ja ci poradzę!

— A doktór, mamo, czy przyjdzie?

— Przyjdzie, dońko moja, przyjdzie; już ja mu progi obiłam, dziś pewno nie zapomni, przyrzekł.

— Chce się też kumie z doktorami wdawać i pieniądze tracić naprożno — wtrąciła kobieta w dużym czepcu o zżółkłej i pomarszczonej jak stary pargamin twarzy; nie lepiej to słuchać Tomaszowej?

— Tać i Tomaszowa darmo nie kuruje.

— To co inszego. Tomaszowa bierze same głupstwo, co jej dają, aby tylko coś wziąść, bo inaczej nie może. Leki, widzicie, nie są skuteczne za daremniaka.

Słuchająca z niedowierzaniem pokręciła głową.

W tej chwili, gdy kumoszka domawiała słów, usprawiedliwiających Tomaszową, w izdebce pojawił się doktór.

Przeciwniczka medyków, stropiona tem nieco, wysunęła się ostrożnie za drzwi, mrucząc coś niezrozumiałego pod nosem. Doktór przystąpił do chorej, wziął za puls, następnie osłuchał piersi, spytał o niektóre objawy choroby i zapisawszy receptę, zabierał się do wyjścia.

— Panie konsyliarzu — zaczęła błagająco matka — ratuj ją, jeśli Boga kochasz; ulituj się nademną nieszczęśliwą, do śmierci modlić się będę za pana.

— Moi drodzy—odparł obojętnie doktór, gdy już byli w sieni — cudów robić nie jestem w możności...

— O! Boże wszechmogący — jęknęła matka — więc ona żyć nie będzie?! Panie konsylarzu, czy to być może, czyż już niema żadnego ratunku?...

— Ja go przynajmniej nie widzę, dla spokoju chorej odwiedzę ją jeszcze za dni parę, jeśli...

Matka zaczęła szlochać, ukrywszy twarz w dłonie; doktór oddalił się spiesznie, nie mając widocznie czasu do stracenia.

Kumoszka, którą chęć dowiedzenia się o wyroku, jaki wydał doktór, paliła jak rozpalone żelazo, znalazła się niebawem w sieni.

— No jakże?..

Nie było odpowiedzi.

— Cóż doktór powiedział? — powtórzyła niecierpliwie kuma.

Zapytana zdala się nie słyszeć.

— W takim razie niema co zwłóczyć — bełkotała dalej usłużna przyjaciółka — kiedy już ciału nic pomódz nie sposób, o duszy choć nie zapomnijcie.

— Co wy mówicie?

— A no, wiadomo, kiedy doktór już nie tego, to trzeba po księdza...

— Doktór — jęknęła boleśnie matka — Boże! za co mnie tak karzesz!

— Cóż począć kumo kochana, to boleśnie, pewno bardzo boleśnie, ale kiedy już taka wola wszechmogącego...

— A może — i w oczach pełnych łez błysnął ogień nadziemskiego szczęścia.

— To zawsze ksiądz nie zaszkodzi.

Ksiądz — jęknęła matka — tak, pewno, powtórzyła machinalnie — nie zaszkodzi.

— No nie płaczcie—rzekła kumoszka—lepiej idźcie do księdza a potem po lekarstwo, ja popilnuję waszej dziewczyny tymczasem.

przekonań występują dopiero za punktem wyjścia... W dalszym ciągu tej teoryi spotykamy spostrzeżenia, tyczące się *ustroju* tej wielkiej warstwy ludności. Mówimy o ustroju społecznym i ekonomicznym. Rosya posiada do dziś *własność ziemską zbiorową i autonomię gminy* — mówią zwolennicy tej teoryi. Tymczasem w innych państwach formy te zostały dawno zatracone. Tak np. we Francyi dekret 10 czerwca 1793 roku, wydany przez Konwent, rozdzielił posiadłości gmin między jej mieszkańców i zniósł przez to własność ziemską zbiorową. W fakcie zachowania tej ostatniej i w autonomii gminy widzą oni zadatek ludowego odrodzenia narodu, a w tem odrodzeniu — zadatek wielkiego przyszłego życia. Dodajmy, że formie „mir—obszczyny" (gminy) w ustroju rolnym odpowiada „artiel" w ustroju przemysłowym. Na te dwie formy ekonomiczne pada najprzód oko obcego badacza. Obie one liczą zwolenników śród najwięcej cenionych polityko-ekonomów rosyjskich. Po rozpatrzeniu ich pochwał trudno sobie dać radę ze zdaniem przeciwników. Czytelnik staje się zwolennikiem „obszczyny" i „artieli," oddycha pieśnią tryumfującej idei ludowej i w niej zagłębia się namiętnie w szczegóły zbiorowego władania i autonomii gminy. Jeżeli jednak jest badaczem bezstronnym, nie może zamknąć oczu na widok więzów tamujących w „artieli" indywidualny rozwój uzdolnienia jednostki, a w „obszczynie" tego szkopułu, że co Iwan uprawi i ulepszy, to „mir" odda Siergiejowi, a Iwan drugi raz ulepszać nie zechce.

Dalej najmocniejszym filarem spółczesnego kierunku ekonomicznego w Rosyi jest Ustawa 19 lutego 1861 r. Uwłaszczenie dokonane przez państwo przybrało w niektórych jego miejscach formy, które wyłączają pojęcia własności indywidualnej, stanowiące jedną z podwalin spółczesnych państw europejskich, na całym zaś obszarze zasadziły *pierwiastek nieograniczonej interwencyi państwa w sprawy ekonomiczne*. Gdzieniegdzie cele polityczne uświęcały ekonomiczną robotę — pamięć o nich zmartwychwstaje od czasu do czasu i żyje dzisiaj. Na kanwie tej samej teoryi ekonomicznej do ustawy 1861 r. każdy rok dodzierguje nowe szlaki. W duchu jej zwyciężył pogląd większości na znaczenie obniżki wykupów, świeżo przy postanowieniu zniesienia prawa propinacyi, przy uwłaszczeniu czynszowników i przy sformułowaniu poglądu na znaczenie ziemi rządowej w sprawie przesiedleń.

Fakty powyższe wskazują, że zwolennicy ludowej teoryi społecznej i „realistycznego" kierunku ekonomicznego mają w Rosyi pole żyzne do uprawy swoich przekonań. Uogólnienie tego kierunku i szczegóły teoretyczne czytelnik znajdzie w ostatnim dziele młodego ekonomisty rosyjskiego p. Iwaniukowa [1]). który posuwa swoje teoretyczne badania śmiało na pole zasad „katheder-socyalistów" i jednocześnie wiąże je z życiem ekonomicznem Rosyi. Zwolennicy tej teoryi rekrutują się zarówno z obozu postępowego jak zachowawczego (w polityce). Zagranica przypisuje monopol tych przekonań słowianofilom moskiewskim i robi Katkowa i Aksakowa wierutnymi socyalistami. U nas można także spotkać się z tem przekonaniem. O ile mylnem jest ono, o tyle trzeba przyznać, że istnieją pewne dane, które łatwo mogą nasunąć mniej wtajemniczonym podobne złudzenie.

Ale wróćmy do faktów chwili obecnej.

Po kilkunasto-miesięcznej przerwie, państwo weszło na drogę tej teoryi z nowem ożywieniem. Szereg faktów, które przesuwają się przed naszemi oczami, świadczy, że polityka wewnętrzna ludowa," a mówiąc ściślej, byt ekonomiczny ludu stał się pierwszem okiem w głowie rządu. Komisya obniżająca wykupy rozpoczęła szereg prac na tej niwie. Pierwsza to komisya w tym rodzaju po 13 marca. Po niej nastąpiły obrady biegłych w sprawie pijaństwa. W tej chwili przerwane zostały na jakiś czas posiedzenia komisyi w kwestyi uregulowania przesiedleń się włościan. Komisya czynszownicza zamknęła już swoje krótkie obrady. Inne, jak kolejowa, tytoniowa — mają za cel ogólne zagadnienia ekonomiczne.

Te szczegóły wskazują wyraźnie, co stanowi główny przedmiot społecznych robót państwa i jakiego kierunku ekonomicznego ono się trzyma. Działalność rządu jest głównie ekonomiczną, a kierunek jej — „realistycznym."

Wniosek ten nasuwa pytanie: czy postępując tą drogą państwo zachowa dwie formy, które tak pielęgnują stróże tutejszej odrębności t. j. władanie zbiorowe i autonomię gminy? Nie odpowiadam na to pytanie, lecz ograniczam się wskazówką bardziej praktyczną. Każde państwo i każdy naród, który zmuszony jest rachować się z życiem rosyjskiem, powinien mieć na uwadze przedewszystkiem powyższe jego cechy, odróżniające Rosyę od innych państw europejskich. Patrząc na te właściwości, można sobie zdać sprawę z objawów, które bez tego są niezrozumiałe. Ze właściwości te oznaczają pewne perspektywiczne formy, można sprawdzić na przykładzie. Przypatrując się tej polityko-ekonomicznej działalności, która ma dzisiaj znaczenie panujące w Niemczech i, z drugiej strony, tej teoryi, która, jak widzimy, ma szeroki grunt przed sobą w Rosyi, należy wnosić, że gdyby plany upaństwowienia różnych instytucyj społecznych i ekonomicznych w Niemczech zostały urzeczywistnione, a ideały rosyjskich zwolenników „obszczyny" i interwencyi nieograniczonej państwa utrzymały się i rozwinęły, to niektóre kraje posiadające własność indywidualną i niemające autonomii, skazane by były albo na zastój, albo na nagły przewrót.

Przykład ten wymaga komentarza.

Niepodobna nawet w pierwszym rzucie oka pominąć różnic, dzielących te dwa wielkie pola państwowej działalności. Rosya ma swobodne pole działania i może robić, co się jej podoba z daleko większą samowolą, niż Niemcy. Rosya np. może w swoich własnych granicach urządzać przesiedlanie się włościan, podczas kiedy Niemcy muszą nadmiar zaludnienia wyrzucać z kraju. Niemcy stojąc pod względem rozwoju przemysłowego wyżej od Rosyi, bronią się od niej... cłem ochronnem. Rosya nie dba, co prawda, o teoryę, zato Niemcy zastosowując u siebie pomysły socyalistyczne, mówią jednocześnie o potrzebie zachowywania „dobrze zrozumianego" egoizmu państwa! Rosya tem głównie się różni od Niemiec, że *w sferze ekonomicznej* nie wywalczała sobie dotąd bytu kosztem innych innych narodów, podczas kiedy Niemcy jeżeli tego nie robią, to tylko wtedy, kiedy ich chęci nie mogą być urzeczywistnione.

A. Pawłowski.

[1]) *Osnownyja Położenia Tieorii Ekonomiczeskoj Polotiki.* Moskwa, 1881 r.

POŻAR
TEATRU WIEDEŃSKIEGO.

Bezprzykładnym prawie w historyi nieszczęść ludzkich jest straszny wypadek

---

— Bóg wam zapłać, kumo.

— E, głupstwo, idźcie a nie marudźcie.

Na wieść o rychłej śmierci chorej wszystkie kumoszki, ile ich było w kamienicy, zbiegły się do ciasnej izdebki pod różnymi pozorami. Jedne pocieszać matkę, inne z radami dla córki, a jeszcze inne z misyą religijną.

— Co te doktory wiedzą — szeptała stolarka do lokajowej — *mój* rok temu, jak był zasłabł, to powiedzieli, że i tygodnia nie pociągnie, a on więcej jak bez cztery niedziele jeszcze żył.

— To się wi, że oni tyle wiedzą, co nic— odparła lokajowa. Na mój głupi rozum, to u niej też ani suchoty, ani co, jeno kołtun, a od kołtuna wiadomo: barwinku na głowę i wszystko.

— Prawdę mówicie — wtrąciła trzecia; żeby mnie byli słuchali a odrazu wzięli się do dziewczyny ostro, to by i była zdrowa; ale jak położyli do łóżka, jak zaczęli a poić a chuchać a dmuchać, tak i zgłumili dziewczynę. Każdemu przecie wiadomo, że kiedy kto nie chce wstać, to niech się jeno rozleży.

Na rosprawy te chora nie zdaje się zwracać uwagi. Otworzy tylko od czasu do czasu dziwnie błyszczące oczy, zakaszle, westchnie ciężko i znów zapada w półsenność.

Kumoszki zaczynają się naradzać, co teraz robić im wypada.

— Przyjdzie ksiądz z olejami — mówi jedna — a ona niemyta, tak przecie być nie może.

— To się wie — pochwytuje druga, obmyć ją trzeba i to zaraz.

— Możeby zaczekać na matkę — wtrąca inna.

— Co tu czekać, niema co czekać, woda jest, więcej nic nie trzeba, matka może przyjść z księdzem a wtedy będzie za późno.

— Ono to prawda, tylko widzicie, że woda niegrzana — podchwytuje inna.

— A to dopiero, jeszcze grzać wodę. Także wymysły, niby to zimna woda zaszkodziła komu.

Rozpoczyna się obmywanie, chora się broni, jak może, prośbami i łzami; ale usłużne przyjaciółki zapewniają ją tylko, że tak potrzeba, że tego wymaga kościół i własne ich sumienie, które im ulegość nakazuje.

Chora nic z tego wszystkiego nie rozumie; widzi to tylko, iż prośby jej na nic się nie zdadzą. Milczy więc lub jęczy, gdy jej siły na to pozwalają.

Ukończywszywszy operacyę, przyjaciółki czują się wielce zadowolone. Spełnily obowiązek.

Zaczynają się opowiadania rozmaitych ciekawych i zabawnych wydarzeń, które koniec końcem uwieńczyła śmierć.

Wreszcie wchodzi ksiądz, kumoszki zrywają się ze stołków, całują ręce lub rękawy czarnej sutanny i jedna za drugą wynoszą się z izdebki.

Chora otwiera znów oczy, w których na widok nowo przybyłego przestrach się maluje — konwulsyjnym ruchem rąk zdaje się odpędzać spowiednika.

Zwiastun lepszej przyszłości nie zwraca na to uwagi, zbliża się do łóżka, spokojnym i suchym głosem rozpoczyna swoje zadanie. Mówi o życiu wiecznem, o pojednaniu z Bogiem, o stanie łaski i niełaski.

Chora drży, oczy jej napełniają się łzami, kaszel coraz silniej męczyć ją zaczyna.

— Mamo — szepcze nieszczęśliwa — więc ja muszę umierać — mamo!...

Głos dziecka nie dochodzi do uszu matki, ta bowiem wraz z innemi usunęła się z mieszkania.

Ksiądz przypomina jej obowiązki chrześcianki.

Chora milczy, na zapytanie kapłana, rozstrzagającego sumienie grzesznicy, odpowiada z trudnością. Ceremonia skończona.

Izdebka znowu zaczyna się napełniać; tylko tym razem żadna kumoszka nie przy-

w wiedeńskim Ringtheater. W ciągu godziny spłonął jeden z najokazalszych gmachów a w nim... blisko tysiąc ludzi. Trzeba uprzytomnić sobie wszystkie możliwości niedbalstwa, oszołomienia, wadliwego ratunku i bezprzytomnej rozpaczy, ażeby zrozumieć to okropne zdarzenie. Ogień wszczął się na scenie od butelki ze spiritusem — jak utrzymują jedni, od zebranego pod sufitem i zapalonego iskrą elektryczną gazu — jak twierdzą drudzy. Już płomienie wiły się po kulisach, zanim publiczność niebezpieczeństwo spostrzegła i do zgubnej w skutkach ucieczki się rzuciła. Ponieważ przerażona służba teatralna zapomniała spuścić przeznaczonej na takie wypadki żelaznej kurtyny i nie odkręciła zawieszonych nad sceną kranów wodociągowych, pożar więc rozlał się po nawie teatru z nadzwyczajną szybkością. Przedstawienie (operetki Ofenbacha *Powieści Hoffmanna*) jeszcze się nie rozpoczęło, krzesła więc i loże były skąpo zajęte, ale zato galerye napełnione. Tam też nastąpiła główna katastrofa. Skutkiem zamknięcia tak zwanych drzwi ratunkowych, widzowie rzucili się do zwykłych wyjść, gdzie zbici w gromadę i zwinięci w wielki kłębek zagrodzili sobie drogę. Na dobiar nieszczęścia służba teatralna, z dobrych swych chęci zrobiła zabójczy użytek i najgłówniej przyczyniła się do okropności położenia. Chcąc bowiem zapobiedz wybuchowi, zgasiła gaz w korytarzach, nie zapaliwszy lamp olejnych. Ci więc, którzy zdołali wydobyć się z teatru, znaleźli się śród ciemności, w której najmniejsze światełko nie wskazywało im drogi a przestrach ją mylił. Podczas gdy jedni na galeryach i w nawie teatralnej rozdeptani, uduszeni lub powstrzymani, palili się, drugich dusił dym w krużgankach. Część tych męczenników, błądząc w ciemnym labiryncie, dostała się wreszcie na balkony. Ale jak spaść na dół? Niektórzy bez namysłu rzucili się i roztrzaskali sobie o bruk głowy, inni, których ogień już dosięgał, nadaremnie wzywali ratunku, którego im zgromadzony na ulicy tłum dać nie mógł. Przybyła z czasem straż ogniowa z drabiną, która wszakże okazała się za krótką, nareszcie rozpostarto płótna i wtedy dopiero nastąpiło straszne skakanie z balkonów, któremu najwięcej wybawionych życie swe zawdzięcza. Wobec przerażającej liczby spalonych i zaduszonych, nikt nie policzył połamanych rąk i nóg, lżejszych lub cięższych okaleczeń. Policya tak słabe miała pojęcie o wypadku, że gdy jeden z arcyksiążąt, przybywszy do płonącego teatru, zapytał jej prezydenta: „Czy przypadkiem kto nie zginął?“ — „Nikt, na szczęście“ — odrzekł spokojnie stróż bezpieczeństwa publicznego. Dopiero ukazanie się nieszczęśliwych na balkonach przekonało go, że giną setki. Właściwie wszakże potworność klęski zmierzył prokurator Lamezan. Zatkawszy usta gąbką, wszedł on odważnie z kilku policyantami do wnętrza teatru i wtedy oczom ich przedstawił się straszny widok. Ogień pożerał kupy ludzi, które dym lub tłok podusił, a owo długie nieukazywanie się publiczności, które taką otuchą napełniło naczelnika policyi, było właśnie dowodem, jak wiele ofiar pożar pochłonął. Liczba ich nie jest jeszcze ściśle znaną; ponieważ wiele ciał zostało zupełnie zwęglonych i wiele niewydobytych, można więc ją jedynie w przybliżeniu oznaczyć ze sprzedanych biletów i doniesień rodzin. Cudzoziemcy może nigdy nie będą wykryci.

Uratowani z ognistego piekła opowiadają w dziennikach swoje straszne wspomnienia. Jeden z nich pisze w *Neue Freie Presse*: „Przybyłem do teatru o trzy kwadranse na siódmą. Przypuszczając, że widowisko zaraz się rozpocznie, przyłożyłem lornetkę do oczu, bacząc na podniesienie się zasłony. Nagle dostrzegłem, że kurtyna, jak gdyby nadęta prądem powietrza, wygięła się ku nawie. Po chwili ujrzałem na scenie ogień a straszny okrzyk rozległ się w całym teatrze. Zerwałem się i pospieszyłem do wyjścia. Gdym wpadł na korytarz, panowała zupełna ciemność. Macając z innymi po ciemku, uchwyciłem kogoś za tużurek, podczas gdy ktoś znowu mnie się uczepił. Tak ciągnęliśmy się aż do schodów, gdzie również było ciemno. Tu zbiliśmy się w kupę, ale szczęśliwie dostaliśmy się do wyjścia. Uciekając, słyszeliśmy rozpaczliwe jęki i wołania nieszczęśliwych, których albo gnietli uciekający, albo dym dławił. Niektórzy rzucili się do okien loggij. Była to jedna z najstraszniejszych scen, jakie w życiu widziałem. Zdawało mi się, że duchy wyciągają ręce, opuszczają je i znowu z całą siłą rwą się do okien, ażeby przez nie wyskoczyć na ulicę. Z dołu krzyczano: „Czekajcie, czekajcie, przyniosą płótna!“ — „Skaczmy“ odpowiadały głosy z teatru — a za nimi ciała spadały na ulicę.“

Inny świadek, aktor Lindau tak opowiadała: „Skończyłem właśnie moją tualetę i wszedłem na scenę. Zaledwie postąpiłem kilka kroków, dochodzi mnie krzyk przerażenia. W jednej chwili zrozumiałem, co się stało. Robotnik lampką spirytusową o długim knocie, osadzoną na długiej tyczce zapalał lampy dekoracyjne. Gdy doszedł do dekoracyi, przedstawiającej wnętrze szynku, w którym odbywa się 1-szy akt *Powieści Hoffmanna*, płótno suche i farbą przejęte w mgnieniu oka zajęło się. W jednej chwili stałem pośród ognia, robotnik ledwie zdążył odskoczyć w tył. Widocznie w skutek nagłego i szybkiego rozpostarcia się płomieni powstał silny prąd powietrza, gdyż natychmiast wysoki słup ognia rzucił się na kurtynę, wypalił ogromną dziurę, przez nią wpadł do teatru i okrył tłumnie już zajęte galerye śmiertelnym całunem. Usłyszałem tylko jeden olbrzymi okrzyk niewysłowionego przerażenia i strasznej rozpaczy. Wybiegłszy, spotkałem dyrektora Jaunera. Przez tylne, kamienne schody dostaliśmy się na ulicę, co prędzej wpadliśmy do głównego wejścia na przednie wschody, żeby zobaczyć czy publiczność się uratowała. Główne schody i foyer były puste. Jedną chwilę łudziliśmy się przypuszczeniem, że wszyscy ocaleli. Jauner tymczasem z silnego wzruszenia omdlał i przez nieznanego mi pana (konsula szwedzkiego) był wyniesiony na ulicę. Pobiegłem jeszcze raz na tylne schody, by się przekonać, co się dzieje w garderobach:—były nietknięte. Zdążyłem włożyć zwykły mój ubiór, gdy usłyszałem wołanie o pomoc. Chórzystki w kostiumach, niektóre w połowie tylko ubrane, inne zaledwie w bieliźnie, wypadły ku mnie z płaczem i jękiem. Wskazałem im pewne wyjście i podążyłem za nadzorcą ogniowym Nitschem, mieszkającym na najwyższem piętrze teatru. Żona jego leżała zemdlała, dwoje dzieci w okropnem przerażeniu straciły wszelką przytomność. Nitsche wyniósł na plecach żonę, ja dwoje dzieci. Zeszedłszy na drugie piętro, zobaczyliśmy płomień, buchający przez otwarte żelazne drzwi na schody, przez które przejść musieliśmy. Zdążyłem zatrzasnąć drzwi, byliśmy ocaleni. Wróciłem na drugie piętro do mieszkania sekretarza teatru. Zdołaliśmy znaczną część jego ruchomości ocalić, wyrzucając je na ulicę, nawet fortepiany i inne instrumenty muzyczne znieśliśmy przez wschody. Uratowawszy bliższych swoich znajomych, jeszcze raz wszedłem na górę, tym razem na trzecie piętro. Z trzeciego piętra prowadzą na scenę takież same żelazne drzwi ze sprężyną, jakie nas z Nitschem ocaliły. Przedstawcie sobie zgrozę moją, gdym ujrzał przez drzwi przytrzaśnięte zaduszonego posługacza przy

---

chodzi już z próżnemi rękami. Gromnice, woda święcona, książki z modlitwami przy konających, wszystko mają z sobą.

Rozpoczyna się czytanie pół głosem, monotonne.

Chora, pomimo znużenia, nie może usnąć.

— Mamo — rzecze ledwie dosłyszalnym głosem — czego one tu chcą, mnie światło razi, mnie ich głos męczy.

— Przestańcie — mówi matka do kumoszek — ona uśnie może.

— Czy kuma masz źle w głowie, czy co — odzywa się jedna z wymowniejszych— chcesz ją na potępienie skazać? Widzisz przecie, że kona, już my znamy to spanie.

Matka łkać zaczyna.

— Ot, dajcie wy już lepiej pokój — ciągnie dalej kumoszka — zostawcie nam tę sprawę; już my jej tak na tamten świat nie puścimy, jak jakiego zwierzęcia. My ją po chrześciańsku przeprowadzim, jak się należy.

— Czytaj kumo, co to słuchać — odzywa się druga; wiadomo, matka w takich razach głowę traci.

Monotonne czytanie rozpoczyna się na nowo.

Chora chce odkaszlnąć, flegma ją dusi, rzężenie w gardle, rękami wskazuje, by ją podjęto, by jej podnieść się pomogli.

— Kona! — krzyczy jedna z obecnych— pani Marcinowo gromnicę prędzej. Gromnicę zapaloną daj jej do ręki, a wy Józefowo kropnijcie ją wodą, wodą święconą.

Kumoszki spełniają polecenie w jednej chwili.

Chora odkaszlnąwszy, upuszcza z rąk gromnicę, za którą uchwyciła, by się podnieść trochę, i jęczy boleśnie.

— Mamo! mamo! ulituj się nademną, czego one mnie męczą, ja nie chcę umrzeć, ja nie umrę: mamo, nieprawdaż? Pan Bóg litościwy zmiłuje się nad biedną...

Matka chce jej przyjść z pomocą, przyjaciółki zagradzają drogę.

— Dajcie pokój, mówię wam kumo, jeśli wam dusza dziecka miła.

Podawanie gromnicy do ręki chorej powtarza się bez końca, gdyż ona co chwila upuszcza ją na ziemię.

— Skropcie no ją jeszcze wodą święconą — rozkazuje jedna z obecnych, gdy zmęczona temi praktykami dziewczyna zacisnęła konwulsyjnie pięście, nie dając sobie w nie wstawić zapalonej świecy.

Pani Józefowa spełniła polecenie.

Chora drgnęła, otworzyła oczy szeroko, chciała coś powiedzieć, ale jej w gardle słowa zagrzęzły.

— Zły duch cię napastuje — zaczęła do konającej usłużna bigotka — zły duch, skoro gromnicy nie chcesz konając. Cóż ty myślisz sobie nieszczęsna, minuty twoje policzone, doktór powiedział, że za chwilę już będzie po tobie, a ty zamiast się modlić, zamiast przepraszać wszystkich, to chimery tu jakieś pokazujesz.

— Nie gniewajcie się — jęknęła konająca nie gnie... waj... cie się — wy na m... n... ie nie... szczęsną, ratujcie, o Boże!... mamo! ma... mo...!

Zaczęła drżeć jak w febrze, świecę, włożoną jej przemocą prawie, ścisnęła konwulsyjnie, jak gdyby to narzędzie udręczeń i mąk swoich wyrwać z rąk kobiet chciała — otworzyła jeszcze raz oczy, lecz już niewrażliwe ani na ciemnotę ludzką, ani światłość bijącą z gromnicy, która w zastygłem jej ręku świeciła niby... pochodnia męczeńska.

— Chwała Bogu — zawołały kumoszki chórem — umarła, jak chrześcianka — zbawiona!

K—n.

garderobach. Biedak podążył widocznie przed żarem w te drzwi, lecz nie miał dość siły, by je otworzyć dostatecznie i został przez nie przyciśnięty. Straż ogniowa dostała się do przejść lożowych i galeryowych i znalazła tam całe stosy trupów. Ludzie ci leżeli w najrozmaitszych pozycyach, jak ich śmierć zaskoczyła. Jedni ręce kurczowo w górę wznieśli, drudzy paznokcie we własnem ciele utopili podczas okrutnej męczarni, to znowu młodzi małżonkowie leżą, splotłszy ręce w śmiertelnym uścisku. Wszyscy mają okopcone twarze, opalone włosy i brody."

Niejaki Deiche był w teatrze z żoną i córką na galeryi. Spostrzegłszy ogień, porwał dziecko i zniósł na dół. Żona jego wszakże nie mogła się z gwałtownego tłoku wydobyć. Spieszy więc po nią. Już dostał się, już ją zobaczył, w tem światło zgasło. Szczęśliwi jednak, trafili po ciemku i odnaleźli dziecko.

Jakiś młodzieniec zeskoczył z drugiego piętra do krzeseł i padł na głowę stojącej kobiety. Nie zabił się.

Pewien urzędnik bankowy, spóźniwszy się, właśnie oddał palto w garderobie i szedł po schodach, gdy naprzeciw niemu wybiegła z galeryi masa ludzi a między nimi młoda panienka, która zawołała: „Znieś mnie pan — nie mogę." Pochwycił ją i — gdy światło zagaszono — śród ciemności wyniósł na ulicę. „Ojciec mój, ojciec!" — krzyknęła kobieta, wymówiwszy omdlałym głosem swe nazwisko. Zbawca pospieszył odważnie i wyratował ojca.

Kupiec Goldstein wraz z żoną i 16-letnią córką uwięźli w ścisku. Ta ostatnia nie chciała odłączyć się od rodziców. Gdy ogień ich ogarnął, jakiś student pochwycił córkę i wyrzucił przez okno na płótno ratunkowe. Rodzice zginęli.

Niektórzy błądząc po ciemnych korytarzach, wpadali do izdebek służby teatralnej, która o niczem nie wiedząc, spokojnie sobie siedziała.

Uratowana panna Pawlik tak kreśli straszne swojej rodziny dzieje.

„Ja, ojciec, matka, siostra i jej narzeczony siedzieliśmy w tylnych rzędach drugiej galeryi. Właśnie oglądałam afisz; orkiestra zaczęła się zbierać, teatr u góry był pełny, niektóre loże i krzesła zajęte. Nagle kurtyna wydęła się ku przodowi i nieco podniosła — buchnął obłok dymu a za nim wysunęły się języki płomienia. Ojciec krzyknął: „ogień!" i nim podnieśliśmy się, zasłona, jak gdyby potężną ciśnięta siłą, spadła aż na drugą galeryę. Dym napełnił całą przestrzeń. Rzuciliśmy się do wyjścia, gdy wtem światła pogasły. Pomału, trzymając się mocno i posuwając w pięcioro z tłumem, doszliśmy do schodów. Dym był coraz gęstszy, powietrze coraz bardziej duszące, krzyki, ścisk i uderzenia. Ciągle trzymałam się mojej rodziny, nie widząc jej. Nagle potok ludzi się zatamował, stanęliśmy na schodach ściśnięci... ile minut, sekund, nie wiem... wydawało mi się wiecznością. Jedni przed nami padli, drudzy na nich się przewrócili, powstał kłębek ciał, który uniemożliwił posuwanie się. Czułam, że się duszę, gdy znowu, nie wiem jakim sposobem, stoczyłam się z gromadką ludzi po schodach. Mogłam się nareszcie poruszać swobodnie, zaczęłam macać w ciemności i dotknęłam jakiejś portyery. W tejże chwili prąd świeżego powietrza wionął na mnie. Postąpiłam dalej — za mną krzyczał, jęczał, rozpaczał tłum ludzi, a w nim moi krewni. Wpadłam do jakiejś sali, która wydawała mi się cukiernią. Znajdował się w niej jeden mężczyzna. „Otwórzmy okno"—zawołałam. „Nie można, zamknięte"—odpowiedział. Uderzam pięściami — grube szkło nie pęka. Wtedy mężczyzna ściąga bót i rozbija okno. Proszę go o kilka zapałek i wracam na schody. Chociaż zapałki zgasły, pospieszam naprzód, dopóki nie trafiłam na ludzi. Słyszę ich skargi, jęki, rozpaczliwy krzyk rozlega się na górze, wołam po imieniu ojca, matkę, siostrę — żadnej odpowiedzi. Musieli zemdleć w duszącem powietrzu. Dotykam głów, rąk, nóg, ramion, próbuję kogoś wyciągnąć... daremnie. Prędko, o ile ciemność dozwalała, zbiegam znowu do cukierni. Wychylam się przez okno i wołam: „Pomocy, pomocy, na schodach duszą się ludzie! Setki, tysiące duszą się! Światła, światła, pochodnia może nas uratować, pochodni, pochodni!" Na dole stoi tłum, strażacy, policyanci. Odpowiadają mi: „Wszyscy uratowani — w teatrze niema nikogo!" Krzyczę znowu: „Nieprawda, ratujcie, światła, pochodni!" Wtedy strażak ujmuje kiszkę i chce gasić niewiadomo co. Wołam więc: „Tu nic się nie pali, nie potrzebujemy wody, tylko światło uratuje ludzi, którzy się duszą." „Nikogo tam niema — odpowiadają mi głosy — nie krzycz pani, nic ci nie grozi, zaraz przybędą płótna ratunkowe." Błagam, proszę, mówię, że ojciec, matka, ludzie giną — napróżno. Znowu więc biorę zapałki i wybiegam na schody. Prąd powietrza jednak gasi światło, idę w ciemności. Potykam się o ciała ludzkie. Jakaś zimna ręka chwyta moją, słyszę tylko głuche jęki, kłęby dymu buchają na mnie. W ciemności panuje zupełna cisza, przerywana tylko rzężeniem umierających. Wracam do okna. Jakiś mężczyzna przy świetle zapałki obwiązuje sobie szyję chustką, ażeby... się nie zaziębić. „Wyskoczmy — mówię — dym staje się coraz gęstszym." Mężczyzni wahają się, chociaż płótno już rospostarte. Wchodzę na okno i skaczę. Znalazłszy się na dole, wołam znowu o światło, o pomoc dla umierających na górze, o pochodnie. Daremnie, tylko... zapisują moje nazwisko." Po co? Ażeby nazajutrz dowiedzieć się, czy ta nieszczęśliwa kobieta mówiła prawdę?

Z polaków zginął poseł Pęgowski, syn powieściopisarza Z. Kaczkowskiego i kilka innych nieznanych osób. Niejaki znowu Korytnicki uratował 30 kobiet.

Okropny widok przedstawiają miejsca, gdzie złożono ciała lub szczątki ofiar i gdzie mieszkańcy rozpoznają krewnych. A jakże rozpoznać ich trudno! Z wielu pozostały tylko węgle lub pojedyńcze członki a wszystkie trupy tak grubo pokryte warstwą sadzy, że niepodobna dojrzeć rysów. Płacz, krzyki, szlochania składają rozdzierającą wrzawę. Najbujniejsza wyobraźnia niezdolna odtworzyć sobie tego strasznego obrazu. Jakiś młody chłopiec ogląda starannie zwłoki, przypatruje się zwęglonym resztkom, obejrzał wszystkie i nie znalazł... ojca! Inny mężczyzna z wyrazem strasznej rozpaczy w twarzy przebiega wzrokiem ciała. Nareszcie tragarze wnoszą piękną, niepokaleczoną ogniem kobietę z medalionem na szyi: „Mino moja!" krzyknął przybyły i rzucił się na umarłą. Zaledwie stróże i policyanci zdołali go oderwać i zwłoki na właściwe miejsce przenieść.

Jeden z reporterów opowiada, że przed teatrem widział porządnie ubranego mężczyznę, z którego oczu uderzał obłęd. Ustawicznie wołał: „Mali, Mali!" przyciskając kurczowo do szyi pasek futra. Gdy go uspakajano i pytano, gdzie mieszka, krzyczał: „Mali, Mali! Ja wyskoczyłem, a ona została."

Nikt nie przeliczy i nie opisze strasznych scen, które się odegrały widzialnie. A jakież być musiały przez nikogo niewidziane, wewnątrz płonącego teatru!...

Wobec faktu, że najwięcej zginęło ludzi z klas średnich i niższych, zrozumiałą i konieczną jest hojność, jaką ze wszystkich stron odpowiedziano na wieść o tej katastrofie. Do pism posypały się składki publiczne, banki i stowarzyszenia wyznaczyły zapomogi, bogaci nadesłali szczodre wsparcia pieniężne. Miasto okryło się szczerym smutkiem. Od teatrów do parlamentu wszystkie instytucye zawiesiły swoje czynności i wyraziły uroczyście żal serdeczny.

Pogrzeb męczenników odbył się z nadzwyczajną powagą i śród niezliczonego orszaku. Pochowano ich (150) we wspólnym grobie wieczystym, nad którym ma stanąć pamiątkowy sarkofag.

Pod względem tej krwawej nauki cała Europa zaczęła rewidować swoje teatry i badać ich środki ostrożności. Dziś widzimy spotęgowaną czujność, ale czy ona nie uśnie, gdy płomienie Ringtheatru zgasną a wspomnienia okropnego w nim męczeństwa z pamięci się zetrą? Pytanie to powinno bardzo poważnie stanąć przed wszystkiemi społeczeństwami.

Sądząc bez złudzeń, przyznać musimy, że podobna katastrofa zdarzyć się może wszędzie. Cóż więc robić? Nie będziemy wyliczali wszystkich drobnych sposobów ubezpieczania życia tysiąców w gmachach publicznych, ale zwrócimy uwagę na jeden najważniejszy. Dotąd rosprawiano ze stanowiska oszczędności, wygody, wreszcie jasności, jakie światło jest lepszem: gazowe czy elektryczne. Katastrofa wiedeńska wypowiedziała w tym sporze ważne i decydujące słowo. Gdyby Ringtheater oświetlony był elektrycznie, byłby się nie spalił a przynajmniej nie byłyby w nim zginęły setki ludzi. Jeżeli więc oszczędność doprowadza do takich rezultatów, to ona jest bardzo drogą. A wiadomo, że prawie wszystkie teatry spłonęły z przyczyny gazu.

S. W.

Z FRANCYI.

(Wszechnice francuskie.)

Paryż, 10 grudnia.

Otwarły się nareszcie kilka dni temu gościnne podwoje Collège de France i literacko-filozoficznego wydziału Sorbonny dla oczekującej z niecierpliwością tej chwili francuskiej publiki i cudzoziemców. Ci ostatni zostali prawdopodobnie zawiedzeni w swoch oczekiwaniach. Do Paryża przywiodła ich gwiazda cywilizacyi, która wciąż tak jasno świeci nad Francyą. Tu zrodziły się wszystkie nowe drgnienia ludzkości, tu zawsze po raz pierwszy odczuto nowe potrzeby myśli. Tu np. nowożytny pozytywizm znalazł naturalnych i chrzestnych rodziców, jak również pierwszych i najgorętszych wyznawców. Zdawałoby się więc, że przestąpiwszy próg tutejszych akademij, znajdziemy się odrazu w atmosferze religijnego, filozoficznego i naukowego niedowiarstwa, usłyszymy na każdym kroku gorące apologie doświadczenia i obserwacyi, jako jedynych źródeł wiedzy. Przypuszczenie takie sądzących z pozoru potwierdza również pierwsze otarcie się o paryski ogół. Swobodne, czasami nawet zbyt swobodne, artykuły radykalnych gazet, ryciny anti-klerykalnych wydawnictw, odezwy i mowy skrajnych członków społecznej lewicy znajdują wszędzie chętnych, wesołych i biernych słuchaczów i widzów; kiedy tymczasem czytelników konserwatywnych gazet prawie niepodobna zobaczyć. Słysząc rozmowy i dowcipki tutejszej publiczności na ulicach, w kawiarniach i na zebraniach, przychodzimy do przekonania, że nowsze pojęcia, jeżeli nie wsiąkły zupełnie w paryski ogół, to w każdym razie on się do nich przyzwyczaił, osłuchał. Tymczasem, idąc z wykładu na wykład, czy to w Sorbonnie, czy w Collège de France, doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy cofnęli się raptem do poprzedzającej filozoficznej epoki.

Główni profesorowie filozofii w Sorbonnie: p.p. Caro (nie wykłada w tym roku z powodu mandatu na deputowanego) i Paweł Janet są to znani całemu światu spirytualiści i z pewnemi ustępstwami na ko-

rzyść nauk ścisłych — eklektycy. P. Joly — to idealno-realny współwyznawca warszawskiego p. Struve, a p. Waddington tegoroczne swoje lekcye „O znaczeniu opatrzności w filozofii greckiej" rozpoczął od zajadłej filipiki przeciwko profesorom, którzy poważają się burzyć w dorastającej młodzieży wierzenia, uświęcone wiekami.

W Collège de France nie dzieje się inaczej. Tam pan Nourrisson z zapałem głębokiego przekonania broni filozoficznego dualizmu przeciwko napadom materyalistów. Katedralni koledzy jego nie stanowią z nim rozdźwięku. Są tam wprawdzie ludzie, w których przekonania weszły nowe pierwiastki (Laboulaye, Franck), ale w Collège, tak jak i w Sorobonnie, nie wykłada ani jeden pozytywista.

Fakt takiego opóźnienia daje się spostrzegać w innej jeszcze, pokrewnej gałęzi wykładów, a mianowicie w sferze nauk społecznych. Już od świętej pamięci, bo jeszcze w pierwszych dziesiątkach naszego wieku, odezwał się we Francyi głos, protestujący przeciwko wszechwładnym wówczas naukom ekonomistów manchesterskiej szkoły. Głos ten znalazł natychmiast nadzwyczaj szerokie odbicie w umysłach młodej Francyi. Niepodobna prawie znaleźć takiej gałęzi publicznej pracy, gdzie by nie zabłysnął potęgą swej wiedzy i talentu choć jeden z uczniów Saint-Simona. Od tego czasu myśl ludzka zdobyła wiele, zaszła daleko we wskazanym przez francuskiego pisarza kierunku. Prawowierni wyznawcy Smith'a przestali być szkołą tryumfującą, jeszcze trochę a zamienią się w garstkę upartych niedobitków. Dawniejsi opozycyoniści potworzyli całe nowe szkoły i dziś angielscy, a szczególniej włoscy i niemieccy uczeni budują na starych gruzach zupełnie nowy gmach ekonomii. Do tej budowy przyłożyli francuzi skromną wprawdzie, ale swoją własną cegiełkę.

Wszystkiego tego jednak w wyższych naukowych zakładach paryskich ani podobna dopatrzyć. Wtedy, kiedy w Niemczech niema jednego może uniwersytetu, gdzieby nie głosił rezultatów swych badań któryś ze znanych przeciwników prawomyślnej ekonomii, tutaj, w Collège de France nawet jest jedna tylko katedra z tego działu, zajęta przez p. Leroy-Beaulieu, wyznającego zasady fizyokratów zeszłego wieku. W Sorbonnie ekonomia polityczna nie wykłada się zupełnie, a profesor tego przedmiotu w Szkole Prawa, p. Batbie w pojęciach swoich nie zaszedł dalej, jak pierwsi wyznawcy Smith'a we Francyi, Turgot i J. B. Say, których jest gorącym wyznawcą.

Myliłby się jednak, ktoby na podstawie wskazanych faktów wnosił, że nowsze filozoficzne i ekonomiczne pojęcia nie mają we Francyi godnych uniwersyteckiej katedry przedstwicieli.

Nie. Tak źle nie jest.

Przeczą temu z jednej strony pisma, wydawane przez pozytywistów i ich wykłady, miewane poza granicami szkolnych murów (np. Piotra Laffitta) a należące do najlepszych. Z drugiej strony, jakkolwiek młodsi ekonomiści francuscy nie zdołali jeszcze szeroko zasłynąć swemi pracami, to jednak można wśród nich znaleść skrzętnych i sumiennych badaczy, do których może przyszłość należy.

Cała przyczyna tego zjawiska leży w tem, że Collège de France jest instytucyą konserwatywną, a poczerniałe od starości mury Sorbonny nie łatwo pozwalają na jakie kolwiek innowacye. Miejmy jednak nadzieję, że p. Bert przy pomocy zawotowanych już na ten cel dwudziestu kilku milionów, potrafi tchnąć nowe życie w tę zgrzybiałą staruszkę i odnowi ją od katedry, aż do ławek.

A należy się to jej słusznie już oddawna. Sorbonna nie tylko nie odpowiada potrzebom ducha czasu, ale nawet — mojem zdaniem — swemu założeniu, jako uniwersytetu. Nie jest ona w niczem podobną do takichże instytucyj w Niemczech, a z rosyjskimi wyższymi zakładami stanowi zupełne przeciwieństwo pod każdym względem. Weźmy naprzykład uniwersytet w Petersburgu. Tam profesorowie nauk filozoficznych i społecznych wszyscy, bez wyjątku prawie, należą do najnowszych szkół. Tam wśród profesorów nauk przyrodniczych niepodobna znaleść jak tu przedpotopowych mistrzów, którzyby w zoologii nie widzieli nic wyższego nad system Cuvier'a, a przy pisaniu chemicznych formuł posługiwali się dualistyczną motodą. Uniwersytet w zupełności stoi na spółczesnym poziomie nauki. Ale z drugiej strony, tam wyższa szkoła nie ma organicznego związku z inteligentną masą, a nawet ze znaczną częścią ludzi nauki. Drzwi jej są otwarte dla szczupłej tylko garstki studentów. Nawet ci, którzy przeszli przez uniwersyteckie święcenia, pozbawieni możności korzystania z żywego zdroju nauki, opuszczają się, zapominają, czego się uauczyli, a gdyby nawet otwarte zostały uniwersyteckie audytorya dla publiczności, to ta nie mogłaby z nich korzystać. Rosyjskie uniwersytety nie reprezentują naukowego rozwoju narodu, one są tylko (mówię zawsze o peterburskim, który znam osobiście) *wyrazem postępu wiedzy.*

Zupełnie co innego w Niemczech. Tamtejsze wszechnice są w ścisłem znaczeniu *ogniskami nauki narodu*. Koło nich grupuje się wszystko, co ma z nią związek. Tam wszyscy uczeni są profesorami i odwrotnie wszyscy profesorzy uczonymi. Tam nie panuje żadna wyłączność, tam każdy kierunek znajduje odbicie. Tam wszystko, co ma jakikolwiek związek z nauką, zahacza o uniwersytet.

Ustawy Sorbonny nie pozwalają jej zająć we Francyi tego stanowiska, jakie za jęły uniwersytety w Niemczech. Ograniczenie prawa nauczania, wybór kandydatów przez profesorskie grono sprawia, że o kwalifikacyi na profesora stanowi nie zasługa, ale barwa; to też każdy kierunek, zdobywszy tu sobie raz pozycyę, trwa dopóty, dopóki sam przez się nie zwali się. Za to jednak Sorbonna pozostawi swobodę uczenia się w wyższym stopniu, niż jej zareńskie siostrzyce. Tu wszystkie kursa są publiczne i bezpłatne, treść ich ogłasza się przez rozlepiane na ulicach afisze. Każdy bez różnicy płci i wieku może wchodzić i słuchać, ile mu się podoba, ograniczeń nie ma żadnych. Akademie paryskie nie troszczą się zbyt o rozwój samej nauki, główným ich celem jest *szerzenie wyższej oświaty wśród ogółu*. To jest kardynalna różnica, jaka zachodzi pomiędzy niemi i innymi europejskiemi uniwersytetami. To też kiedy rosyjskie wyższe naukowe zakłady o wiele przerastają ogólny stan nauki w narodzie, kiedy niemieckie uniwersytety są jego wyrazem — zarówno Sorbonna, jak i Collège de France stoją niżej od niego. Cały ruch naukowy Francyi odbywa się po za uniwersyteckimi murami.

Cel wykładów w Collège de France wypowiedział na pierwszej swojej prelekcyi prof. Laboulaye, dzisiejszy jego oficyalny reprezentant. Dowodząc, że prawa i instytucye społeczne są tylko formą i nie mają znaczenia, jeżeli nie odpowiadają rozwojowi narodu, wyraził on swój żal, że we Francyi nie traktują się tak sprawy publiczne jak w Anglii, gdzie każda nowa myśl, każdy nowy projekt staje się zaraz powodem do zawiązania odpowiedniego towarzystwa, do zwoływania meetingów, na których jest roztrząsany i w ten sprsób przechodzi do świadomości ogółu. Brak ten, zdaniem prof. L., powinny wypełnić filozoficzno-prawne wykłady w Collège. Myśl to zupełnie słuszna. Świadomość ogółu w kwestyach społeczno-politycznych, wobec wpływu, jaki na nie wywiera przez powszechne głosowanie, jest rzeczą niezmiernie ważną. To też pocieszającem jest widzieć zapełnione od góry do dołu sale Collège de France najróżnorodniejszymi słuchaczami, starcami o kiju i młodzieży, mężczyznami i kobietami; czasem nawet można tam spotkać dzieci. Przychodzi nawet na myśl, czy wobec istnienia uniwersytetu nie dobrze byłoby, aby zniesiono wykłady nauk ścisłych i filologicznych a z Collège zrobić jedynie instytucyę wychowawczo-polityczną.

Kiedy jednak widzimy takąż samą publiczność w audytoryach Sorbonny, to pomimowoli zjawia się pytanie: czy to nie za wiele tego dobrego? I rzeczywiście za wiele. Luźna publiczność, mogąca doskonale zaspakajać swoje umysłowe potrzeby w Collège de France i na innych wykładach, tutaj różnorodnością swoją zmusza profesorów do wybierania zawsze ogólniejszych tematów. W ten sposób właściwi studenci pozbawieni są możności korzystania ze ściśle naukowych wskazówek profesora, a pracujący naukowo ludzie możności wykładania tej gałęzi, nad jaką pracują, jeżeli ona jest zbyt specyalną. Jest to jeden z powodów, dla czego Sorbonna nie odpowiada poziomowi naukowego rozwoju Francyi.

Nie na tem jednak koniec. Taki skład audytoryum wywołał potrzebę dualizmu. Nie mógł przecie zadowolnić się tem samem chcący ściśle naukowego wykształcenia student i pierwszy lepszy przychodzień bez należytego przygotowania. Zaprowadzono więc około 1867 roku, za czasów ministra oświaty Duruy, tak zwane *conférences*; są to wykłady wyłącznie dla studentów właściwych. Oprócz naukowo dopełniającego znaczenia odegrały one jeszcze tę rolę, że otworzyły jakie takie pole dla młodszych uczonych, gdzie już im wejścia nie mogło bronić veto starszych i konieczność nastrajania się do audytorum.

Nie można jednak było tworzyć w ten sposób uniwersytetu w uniwersytecie; konferencye musiały się co do istoty swojej różnić od innych wykładów. Stały się też one rodzajem repetycyi tego, co student słucha na wykładach. Na konferencyi profesor może przesłuchiwać studenta, zadawać lekcye i t. d. Taka pieczołowitość naukowa jest bardzo właściwą w gimnazyum, ale w uniwersytecie wywiera stanowczo złe skutki, bo zabija samodzielność. Uczeń zamiast korzystać jedynie z ogólnych wskazówek profesora, uczyć się od niego tylko w jaki sposób pracować, przyzwyczaja się do szukania podpory na każdym kroku, z każdą napotkaną przeszkodą zwraca się od nauczyciela, który przewagą swej nauki wywiera nań wpływ, kształtuje w pewien sposób umysł.

Nie wiem, czy taka zasada przy urządzaniu szkół wpłynęła na charakter myśli francuskiej, czy też charakter myśli wpłynął na to urządzenie, ale niepodobna nie zauważyć, że skłonność do ortodoksyi w nauce, do trzymania się ślepo słów mistrza, we Francyi jest rozwinięta więcej niż gdzieindziej. Weźmy choćby ten sam pozytywizm. Kiedy Kant, Hegel i inni niemieccy filozofowie uczniom swoim dali tylko metodę, a nie wyniki, następcy Comte'a, ludzie bez wątpienia ogromnej wiedzy, jak nieboszczyk Littré, Laffitte i t.d. wierzą *in verba magistri* jak w ewangelię, aż do drobnostek, aż do śmieszności.

Dobrze by też było, aby pod reformatorskim wpływem nowego ministra runęła ta instytucya i aby pociągnęła za sobą te utrudnienia, które porobiono dla chcących zostać właściwymi studentami, a które po części z niej wynikają.

K. Ter.

JAN BLEIWEIS - TRSTENISZKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Jeden z przewodników narodu słowieńskiego już nie żyje. Działalność tego wielkiego charakteru mało jest u nas znana, jak wogóle nieznane dzieje walki o byt słowieńców z napierającym ze wszech stron wrogim żywiołem. Niechże więc ten krótki rys żywota dzielnego wodza bratniego ludu zmaże choć w części grzech naszej obojętności na wszystko, co słowian dotyczy.

Dr. Jan Bleiweis urodził się 19 listopada 1808 roku w miasteczku Kranin (Krainburg), gdzie jego ojciec, chłop z Trstenika, był kupcem. W rodzinnej swej mieścinie młodzieniec nabywał pierwszych początków wiedzy, która miała u niego wzrość później do znacznych rozmiarów. Po ukończeniu ludowej szkółki udał się do gimnazyum lublańskiego, a stamtąd z chlubnemi świadectwami w dziewiętnastym roku swego życia na uniwersytet wiedeński, w którym zapisał się na wydział lekarski. Tu przy zetknięciu z innymi słowianami obudziło się w Bleiweisie niewyraźne dotąd jeszcze poczucie narodowe, którego nie wyniósł z domu, a które w gimnazyum lublańskiem pod kierunkiem niemieckich profesorów rozwinąć się nie mogło. Zajął się też gorliwie studyowaniem dziejów i literatur słowiańskich, co jednak nie przeszkodziło mu do chlubnego złożenia w roku 1832 doktoratu medycyny. Po uzyskaniu patentu nie opuścił jednak Bleiweis jeszcze Wiednia, ale zapisał się na kursa weterynaryi, do której, podobnie jak do medycyny, czuł wielki pociąg. Owocem tych studyów była wydana przez niego w języku niemieckim książka pod napisem: *Praktyczny sposób leczenia chorób koni*. Dziełem tem zyskał sobie wielki rozgłos, było ono bowiem naówczas, jak twierdzą specyaliści, najlepszem i najpraktyczniejszem z pomiędzy wszystkich, jakie przedtem wydano. Doczekało się też w krótkim przeciągu czasu aż pięciu wydań, a w poprawnem do dziś jest jednym z najlepszych podręczników z zakresu weterynaryi.

W Wiedniu pozostawał Bleiweis jeszcze lat dziesięć, to jest dopóki w uznaniu zdolności i zasług nie zamianował go w r. 1741 rząd kraiński profesorem weterynaryi i medycyny sądowej przy istniejącej podówczas w Lublanie szkole medyczno-chirurgicznej. Od tego czasu Bleiweis ogłaszał ciągle rozprawy, traktujące o hodowli albo leczeniu zwierząt domowych.

Atoli nie weterynarya postawiła go na stanowisku przewodnika narodu. Była ona tylko powodem, że Towarzystwo Gospodarcze w Lublanie zamianowało go swoim sekretarzem i redaktorem organu, wydawanego w języku słowieńskim p. t. *Novice*. Czasopismo to pod znakomitą redakcyą Bleiweisa odegrało nadzwyczaj ważną rolę w życiu narodowem słowieńców, dla tego powiemy o niem tutaj słów kilka.

Do roku 1843 literatura słowieńska była bardzo ubogą. Od czasu do czasu ukazała się jakaś książeczka, w języku rodzinnym napisana, ale o ruchu piśmienniczym, o życiu literackim, choćby na małą skalę, nie można było mówić. Bo też na drodze rozwoju umysłowego stały ważne przeszkody. Do r. 1843 nie mieli słowieńcy żadnego czasopisma; dopiero po długich staraniach i usilnych prośbach udało się Towarzystwu Gospodarczemu w Lublanie uzyskać koncesyę na pismo słowieńskiej treści ekonomicznej.

Redakcyę tego organu p. n. *Novice gospodarske in narodne* oddano odrazu w zdolne ręce Bleiweisa. Pierwszy numer ukazał się 5 listopada 1843 roku i — rzec można — zainaugurował nową epokę w dziejach piśmiennictwa słowieńskiego. Nieliczni podówczas patryoci powitali ukazanie się *Novic* z uniesieniem. Narodowość słowieńska nie istniała prawie podówczas. Od najdawniejszych czasów uciśnieni przez niemców nie posiadali i nie posiadają słowieńcy żadnej szlachty, mieszczaństwo w krajach słowieńskich było a po części i jest jeszcze dotychczas niemieckiem, co się zaś tyczy klasy urzędniczej, nie potrzebujemy chyba dowodzić, że zawsze okazywała się wrogą wszystkiemu, co słowiańskie; duchowieństwo zachowywało się obojętnie względem sprawy narodowej, pozostawał więc lud wiejski, ale była to *tabula rasa*, na której w szczęśliwych dla siebie okolicznościach mogli byli niemcy wycisnąć z łatwością trwałe piętno germanizmu.

Na lud też zwrócił Bleiweis przedewszystkiem swoją uwagę. Chodziło o to, aby w owym ludzie, pogardzanym i poniżanym ustawicznie przez niemców na północy, przez włochów na południu, obudzić samowiedzę odrębności narodowej. Ale do tak ważnego dzieła, zwłaszcza przy ówczesnych absolutnych z germanizatorskiemi dążeniami rządach, należało się brać nadzwyczaj ostrożnie i zręcznie.

Zręczności pod tym względem nie możemy odmówić Bleiweisowi. Początkowo zamieszczał w swojem piśmie, zgodnie z pozwoleniem, jedynie artykuły z zakresu gospodarstwa wiejskiego i przemysłu. Później od czasu do czasu wśliznęło się jakieś opowiadanie z dziejów słowieńskich, jakiś wierszyk, wreszcie zręczny redaktor doprowadził do tego, że nawet na polityczne, w duchu narodowym pisane artykuły nie zwracano uwagi. W ten sposób redagowane *Novice* stały się szkołą dla ludu słowieńskiego, wychowującą go w duchu patryotycznym.

Celu swego dopiął Bleiweis w zupełności. Naród jego odżył politycznie a piśmiennictwo słowieńskie, jakkolwiek niema pretensyi do równania się z literaturami innych ludów słowiańskich, odpowiada w każdym razie swojemu najgłówniejszemu zadaniu—oświecania ludu ipodnoszenia go na coraz wyższy stopień cywilizacyi.

Musimy tu jeszcze podnieść inną zasługę Bleiweisa. Przed pojawieniem się *Novic* stan gospodarstwa w Krainie i innych ziemiach słowieńskich był nadzwyczaj opłakany. Tymczasem dzisiaj w całej Słowenii rolnictwo kwitnie, a oprócz tego sadownictwo a zwłaszcza pszczelnictwo może służyć jako wzór dla innych krajów. Przyczynił się do tego Bleiweis nawoływaniem w *Novicach* do zaprowadzania gospodarstwa postępowego a nadto do zajmowania się drobnym przemysłem wiejskim.

Należy nam nakreślić wreszcie szkic politycznej działalności Bleiweisa. Po raz pierwszy wystąpił on na tem polu w r. 1848, gdy go powołano na zgromadzenie stanów kraińskich w Lublanie. W deputacyi do cesarza wysłanej znajdował się i Bleiweis. Przyjmował ją w imieniu cesarza arcyksiążę Jan i przed nim to wynurzył Bleiweis w imieniu ludu swego życzenie, aby podzieloną na kilka prowincyj słowieńską ziemię złączono i utworzono całość administracyjną pod nazwą *Słowenii*. Arcyksiążę wysłuchał uprzejmie śmiałego przedstawiciela słowieńskiego narodu i przyrzekł poczynić w tym kierunku starania. Niestety, niedługo potem reakcya przemogła i projekt pogrzebany został na długie czasy.

Rzeczywista działalność polityczna Bleiweisa rozpoczyna się dopiero w jedenaście lat później, gdy w Austryi ogłoszono konstytucyę w r. 1860. Po rozpisaniu pierwszych wyborów do sejmu kraińskiego wybrano go w trzech okręgach. Przyjął on mandat stolicy kraińskiej Lublany i piastował go aż do końca życia.

Pierwszą jego czynnością w sejmie był wniosek o uchwalenie zaprowadzenia języka słowieńskiego w szkołach i urzędach. Atoli słowieńcy pomimo zawarowanego paragrafem dziewiętnastym konstytucyi równouprawnienia językowego, pomimo że i im „rząd sprzyja,“ czekają jeszcze ciągle na urzeczywistnienie w praktyce tego przepisu konstytucyi.

W łonie rozbudzonego do życia politycznego narodu wytworzyły się wkrótce po roku 1850 dwa stronnictwa. Jedno stało na gruncie czysto narodowym, łącząc się z przekonaniami i postępowaniem Bleiweisa, drugie dążyło do zjednoczenia się z chorwatami pod względem politycznym; aby zaś celu tego dopiąć, uważało za najodpowiedniejszą i najkrótszą drogę zlanie się z nimi pod względem językowym. Jakoż niektórzy słowieńcy zaczęli przyswajać sobie mowę pobratymczą i przez jakiś czas pisać dziwną mieszaniną chorwacko-słowieńską, której jednak lud nie rozumiał i nie miał wcale ochoty czytać.

A Bleiweis trwał tymczasem niezachwianie na raz obranem stanowisku ludowem. Uważał on wytworzenie wspólnego języka południowo-słowiańskiego raz za niemożebne, powtóre za niepotrzebne a wreszcie za szkodliwe. Za niemożebne, bo historya nie podaje nam ani jednego przykładu, aby sztuczny wybór językowy przyjął się był gdziekolwiek i kiedykolwiek; za niepotrzebne, bo dla ludu słowieńskiego, na który składają się głównie niższe warstwy społeczne, wystarczającym jest język ojczysty i jego literatura; za szkodliwe wreszcie, bo każdy naród jedynie w swojej rodzimej mowie z pożytkiem kształcony być może.

W dziejach Słowiańszczyzny jedyny przykład w tym kierunku dali chorwaci, którzy zlali się z serbami w jedno ciało pod względem językowym, jakkolwiek nie zdołali zetrzeć wszystkich różnic i antagonizmów narodowych, przedstawiając dziwny okaz jednego narodu, złożonego z dwóch o dwu nazwach i dwojakim a wręcz sobie przeciwnym, ba! wrogim kierunku politycznym.

Przez jakiś czas stronnictwo chorwackie wzięło w Słowenii górę, ale przewaga ta nie trwała długo, a dzisiaj, jeżeli istnieją jeszcze dążności chorwackie, to skierowane są jedynie ku zlaniu się z pobratymczym narodem pod względem politycznym. Zwyciężyła więc polityka Bleiweisa, a na uroczystym obchodzie siedmdziesiątej rocznicy jego urodzin nie podnosiła już wcale deputacya chorwacka kwestyi zupełnego zlania się z kroatami, ale jedynie bratniego z nimi sojuszu.

Działalność polityczna zmarłego zamyka się w szczupłym zakresie czynności sejmu kraińskiego, skromnym napozór, ale mimo to doniosłym. Do rady państwa nie posłował on nigdy. Od przyjęcia mandatu powstrzymała go dziwna skromność i niechęć wydalenia się z kraju, którego też rzeczywiście przez lat pięćdziesiąt nie opuszczał.

Dla uzupełnienia publicystycznej działalności Bleiweisa musimy tu jeszcze nadmienić, że oprócz kilkudziesięciu roczników *Novic* wydał nadto mnóstwo dziełek treści ekonomicznej, beletrystycznej i politycznej. W roku 1844 objął redakcyę kalendarza *Velika pratika* i doprowadził do tego, że dzisiaj odbijają go w 50,000 egzemplarzy. Prócz tego redagował inny kalendarz p. t. *Slovenski koledarczek*.

Wszystkie rządy centralistyczne ignorowały oczywiście usługi Bleiweisa, jakie położył około podniesienia ludu swego tak pod względem umysłowym, jak i ekonomicznym. Dopiero za ministerium Taaffego odznaczony został orderem żelaznej korony 3 klasy, przyczem otrzymał szlachectwo z przydomkiem *Trsteniszki*, od wsi Trstenika, z której pochodził jego ojciec.

Oto krótki rys żywota *ocze slovenskega naroda*. Pamięć jego, jak długo naród istnieć będzie, nie zaginie, a naród ten nie umiera.

Stefan Ramułt.

O ODRODZENIU SIĘ NARODOWOŚCI

SERBO-ŁUŻYCKIEJ

w ostatnich latach 50-ciu.

II.

Przychodzimy obecnie do następnego czynnika, odgrywającego ważną rolę w kształceniu ludu, do teatralnych przedstawień.

Do bardzo niedawna nie dawała się czuć na Łużycach potrzeba grania lub uczęszczania do teatru; jedno bowiem i drugie uważano za „njekazanstwo“ (wszeteczeństwo); dla tego to teatr nazywano „keklija“ t. j. szarlataneryą, a aktorów: „keklér.“ Wogóle sztukę dramatyczną poczytywano za coś wielce bezbożnego.

Uprzedzenie to przeciw teatrowi przełamanem zostało po części w r. 1853, w którym przypadła uroczystość zaślubin byłego następcy tronu saskiego (teraźniejszego króla) Alberta z księżniczką Karoliną Waza.

Na uroczystość zaślubin między licznemi deputacyami udała się do Drezdna gromadka wieśniaków łużyckich, pod wodzą Smolera, ażeby złożyć wysokiej parze życzenia w rodzinnym języku, który książe podczas pobytu z półkiem swoim w Budyszynie poznał doskonale, a który nie był obcym i księżniczce, mówiącej biegle po czesku. Na przedstawienie galowe w teatrze opery zaproszeni zostali i nasi zacięci wrogowie „njekazanstwa“ t. j. teatru. Nie było wcale jednak rzeczą łatwą nakłonić przesądnych wieśniaków do przyjęcia zaproszenia, a nakłonić było trzeba ze względu na wysokie stanowisko zapraszającego. Szczęściem dawano wówczas operę p. t. *Tytus*, której treść Smolerowi była dobrze znaną. Zdołał on tedy wytłomaczyć swym ziomkom, że zobaczą uplastycznionem to tylko w teatrze, czego się w historyi świętej o zdobyciu Jerozolimy uczyli.

Dali się wreszcie namówić, ile że Smoler zapewnił ich o religijnym charakterze sztuki. W teatrze wysłuchali ją z namaszczeniem niemal, a opuszczali salę zadowoleni najzupełniej, że żadnego w niej „njekazanstwa“ dopatrzeć nie mogli. Po powrocie do wiosek rodzinnych opowiadali o drezdeńskim teatrze ziomkom swoim z nieopisanym zachwytem, czem się wielce przyczynili do złagodzenia wstrętu, jaki poprzednio łużyczanie do przedstawień teatralnych żywili.

Zaciekawieni słuchacze przyznawali się otwarcie, że radziby byli coś podobnego u siebie zobaczyć, zwłaszcza gdyby po łużycku usłyszeć to mogli. Czekali więc tylko sposobności, która wreszcie niebawem się zdarzyła. W r. 1862 student medycyny w Pradze, Jan Česla, przetłomaczył na język łużycki czeską komedyę Klicpery: „Rohovin štyrirohač“ (Rogacz czterorożny) i podczas feryj letnich przywiózł ją do Budyszyna Smolerowi z propozycyą, czyby się nie dało wystawić jej w sali założonego wówczas towarzystwa: „Bjesada,“ którego celem było kształcenie języka ojczystego za pomocą odczytów, wieczorków wokalnych i t. p. „biesiad“ duchowych. Zamiar natychmiast w czyn wprowadzono; Smoler sam przyjął jedną z ról, dobry przykład zaś dokonał reszty. Sztuka była starannie obsadzoną i odegraną z powodzeniem przez samych tylko mężczyzn. Lecz potem lat 13 minęło, zanim mowa łużycka znowu na deskach teatralnych zadźwięczała. W r. 1875 namówił Smoler żonę swoją i 2 młode łużyczanki do przyjęcia udziału w odegraniu komedyi nauczyciela seminaryum, Fiedlera p. t. „Kak Pětr lěkari“ (Jak to Piotr leczy). Komedya ta, przerobiona z niemieckiego, obfita w dość zabawne sytuacye, wywoływała ogólny poklask widzów, a dobrze odegrany służący lekarza, przyjmujący w nieobecności pana pacyentów i udzielający im sam porady — pobudzał wszystkich do serdecznego śmiechu.

Chodziło jednak o to, iżby uczynić z teatru nietylko wesołą rozrywkę dla inteligencyi łużyckiej, ale i szkołę dla wieśniaka. W roku więc 1877 w katolickiej wsi Lejno, około miasteczka Kamieńca, odegrano też samą sztukę z dodatkiem oprawowanej z niemieckiego i do życia ludu łużyckiego zastosowanej komedyi Krala: „Susodow skoržba“ (Proces Sąsiadów).

W sztuce tej, która się bardzo okolicznym wieśniakom podobała, przyjęła udział, w braku innych chętnych amatorów, cała rodzina Smolera (z 5 osób złożona) i paru studentów.

Po dwóch latach dano przedstawienie w protestanckiej wsi Budestowicach, złożone znowu ze sztuki: „Kak Pětr lěkari“ w zupełnie nowej jednak obsadzie, i z jednoaktowej komedyjki „Nócny stražnik“ z Körnera, wierszem łużyckim przez Bartko przełożonej. I tu powodzenie było niezmierne.

Tak więc pobudka do kształcenia ludu za pomocą tego rodzaju widowisk dana była już na zachodzie (Lejno) i południu (Budestowice) Łużyc: wypadało więc jeszcze przekonać się, o ile powiodą się przedstawienia podobne między wieśniakami Łużyc północnych i wschodnich. Ponieważ pierwsze lody były przełamane, zadanie to nie przedstawiało przeto żadnej trudności; i gdy w r. 1830 dawano przedstawienie dramatyczne w budyszyńskiej „Biesiadzie“ ze sztuk paru złożone, wkrótce potem powtórzono je w niedalekiej wiosce, najbardziej na wschód posuniętej — Bukowicach. Później nastąpił szereg przedstawień w innych wioskach, jak Łachów, Jaseńc, w których aktorami byli już — wieśniacy! Od tego czasu przedstawienia teatralne powtarzają się na Łużycach coraz częściej i są prawdziwą ucztą duchową dla tamecznych wieśniaków. Każdy z nich czuje się niepomiernie szczęśliwym, jeśli czemkolwiek przyczynić się może do uświetnienia widowiska. To też nieprzyjmujący bezpośrednio udziału w przedstawieniu zamożniejsi przewożą bezpłatnie kulisy z jednej stacyi teatralnej do drugiej, mniej zamożni układają je na wóz i znoszą potrzebne przybory. Zebrane za bilety wejścia pieniądze przeznaczane były dawniej na wydawnictwo pozostałych po zmarłym poecie łużyckim, Andrzeju Zelerze, dzieł, od roku zaś 1880 po utworzeniu towarzystwa pomocy naukowej dla studyujących serbów, cały dochód oddawany jest na rzecz owej pożytecznej ze wszech miar instytucyi.

Jak podnoszą ducha narodowego przedstawienia teatralne, niech nam za przykład posłuży fakt następujący. Z początkiem roku bieżącego przedstawioną była sztuka w Łahowie, napisana przez stolarza, Jana Młynka i krawca Michała Krawca p. t. *Zerja*, jata knujezna na korzymskim rubježnym hrodźe. (Zerja, panna pojmana na granicznym zamku Korzym).

Był to rodzaj dramatu rycerskiego w 6 aktach, opracowanego z ludowej opowieści łużyckiej. Samo ogłoszenie w *Nowinach Serbskich* zapowiedzi o przedstawieniu sztuki, przez dwóch wiejskich rzemieślników napisanej, zrobiło wielkie wrażenie między okolicznymi chłopami, których w dzień widowiska taka się ilość zbliska i zdaleka zjechała, że dla większej części biletów zbrakło. Sztuka wystawioną została stosunkowo świetnie, nie żałowano niczego, by dać wieśniakom należyte pojęcie o strojach i zbroi dawnych rycerzy. W tym celu przybory sprowadzono z Drezdna, w czem pośredniczył zamieszkały tam szczery łużyczan przyjaciel.

W prologu wypowiedzianem było, iż nie jest ona bynajmniej „njekazanstwem,“ lecz przeciwnie, posiada chrześciańską tendencyę; złe bowiem w końcu zostanie ukaranem, dobre zaś nagrodzonem będzie; ze sztuki tej słuchacze poznać będą mogli zwyczaje, charaktery i stroje ludzi za czasów rycerskich. Uciecha widzów była nie do opisania, każdy jak mógł dziękował organizatorom zabawy za tak wielką ucztę. Niebawem też nadchodziły piśmienne podziękowania uczestników, będących jeszcze pod wrażeniem po powrocie do domu. Młynarz wiejski, Handrij Klimant przysłał z sąsiedniej wsi Rakowice dziękczynny wiersz [1]), który ze względu na prawdziwe uczucie, jakie z niego wieje, przytoczymy:

Serbska Lipa Křesćanska	Lipa serbska chrześciańska
Swoje halžki rozšěrja;	Rozszerza swoje gałązki,
Hač je runje podćišćana	Chociaż podcinaną bywa
A wot dubem zasłonjena	I dębami zasłanianą,
Tola stajnje přibywa	Przecież stale egzystuje
A so krasnje přisperja.	I znakomicie się rozrasta.
Sto je, kiž, tu „Lipu“ haji?	Cóż jest to, co lipę tę pie- [lęgnuje?
To je Bóh Knjez na njebiu,	Jest to Bóg, Pan na niebie
W Łahowje nam bratrow [staji,	Dał on nam braci w Łahowie,
Kiž nam k radźe přišli su;	Którzy k'nam z radą przyszli,
Ci pak z Božej pomocu,	Oni to przy pomocy bożej,
Nowu móc nam darichu.	Obdarzyli nas siłą nową.
Za to so jim dźakujemy	Dziękujemy więc im za to
Dźensa a też kożdy čas,	Dzisiaj i czasu każdego.
Lubjerad k nim pohladu- [jemy	Chętnie popatrzymy ku nim,
Na dźiwadlo serbske zaś;	Na ich teatr serbski znowu.
Haj jim z Božej wolu to	Zaiste, za wolą Bożą,
Je so krasuje radźiło.	Tak cudnie obmyślili to oni.
Tak też dale wukladajće	Tak też nadal urządzajcie
Dobru serbsku zabawu,	Dobrą zabawę serbską.
Na nas při tym spominajće,	Wspominajcie też i o nas
Dajće nam ju k wjedźenju:	I dajcie ją nam zobaczyć
To nas jara zwjeseli	To nas wielce rozraduje
A też wěsće wokřewi.	I bardzo pokrzepi.
Budźće, to je naša žadosć,	Bywajcie, jest to życzeniem [naszem
W mjenje Božim wjeseli:	W Imię Boże weseli
Tajki serb je Boža radosć,	Taki serb jest radością Bożą,
Kiž při kóždej składności	Który przy każdej sposo- [bności
Bohu k česći skutkuje,	Działa ku czci Panu Bogu
Při tym serbstwo plakuje.	A pielęgnuje serbstwo.

Wszystko to, cośmy o ruchu umysłowym łużyckim powiedzieli, stosuje się tylko do górnych łużyczan; dolni ze snu twardego jeszcze się, rzec można, nie przebudzili, dzięki nieprzychylności rządu pruskiego, który mistrzem jest w wynarodowianiu ludów. Zresztą pewne odrębności językowe i używana dotychczas pisownia niemiecka nie pozwalają łużyczanom dolnym korzystać z wielu stosunkowo dzieł i pism, w Dolnych Łużycach wychodzących. Wydaje tam jedno tylko pismo w Chociebużu *Bramborski serbski Casnik*, założone r. 1849 przez junkrów brandeburskich w celu agitacyi politycznej na korzyść konserwatyzmu. Redaguje je bardzo nędznie Szwjela, nauczyciel elementarny w okolicy Chociebuża. Kilka razy probowano założyć tam jakiekolwiek towarzystwo naukowe, lecz zawsze zamiary zostawały bez skutku. W roku zeszłym dopiero p. Alfons Parczewski wydał nakładem swoim w Chociebużu kalendarz p. n. „Pratyja sa dolno-łužyskich Sserbow ne lěto 1881,“ w którym spotkać się można z nazwiskami wszystkich pisarzów dolnołużyckich. Tenże Parczewski dopomógł Maticy w urządzeniu sekcyi dla wydawania dolno-łużyckich książek, która nosi miano: „Dolno-Łužycki otrjad Maticy Serbskiej.“

L. Papieski.

[1]) W *Nowinach Serbskich* później wydrukowany.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

Katastrofa wiedeńska wywołała tu niemały popłoch. Komisye i niekomisye poczęły badać natychmiast gmach naszego teatru, publiczność skwitowała na razie z wrażeń scenicznych, nie chcąc przed ukończeniem tych oględzin ryzykować swego życia w trzęsącej się ruderze, której p. Koźmian bliski przepowiedział koniec. Do popłochu, trwogi i smutku dołączyło się jeszcze cierpienie. Rozszalały żywioł, który prawie w mgnieniu oka w proch obrócił pyszny wiedeński Ringtheater, i nasze głowy przysypał popiołem zgorzeliska. W jego to bowiem piekielnych uściskach, wespół z innymi naszymi braćmi, wyzionął ducha znany nam dobrze poseł do Rady Państwa, Władysław Pęgowski. „Kraj w ś. p. Władysławie — pisze *Gazeta Krakowska* — traci obywatela wielkiego charakteru, sprawa publiczna — gorliwego obrońcę, my zaś — przyjaciela politycznego i jednego z pierwszych i najgorętszych opiekunów naszego pisma.“

W słowach tych czuć także oddech osobistej boleści, to jednak pewna, że Pęgowski, będąc niegdyś radcą sądowym, najprzód w Tarnowie, następnie u nas, urząd swój pełnił z godnością obywatelską, jako zaś poseł, wybrany przed dwoma laty z Bocheńskiego, gdzie miał wesołego rywala w osobie p. St. Koźmiana, w Kole Polskiem należał do mniejszości, która, jak wiadomo, hamowała namiętne rozpędy ultramontańskich nietoperzy.

Mówiąc o tych stworzonkach, niepodobna choć nawiasowo nie wspomnieć o odrzuceniu przez pana marszałka Zyblikiewicza znanego już wam memoryału krakowskich i lwowskich techników w sprawie odbudowania Wawelu, co nawet w potulnem naszem mieście wywołało powszechne oburzenie.

Wiadomo już wam, iż Kraków postanowił trząść losami krnąbrnej Europy za pomocą nowego dziennika, którego sztandar, jakby na ironię, miał podpierać między innymi i p. Zyg. Sarneki, „spracowany“ i dla tego dymisyonowany redaktor warszawskiego *Echa*. Ale, o zgrozo! zamiast nad Europą, ciężka zwisła chmura nad samym regulatorem jej spraw. Już to p. Gniewosz w *Strażnicy*, znany ze swego gardłacza, już też inni, nie licząc osób prywatnych, poczęli pewnego poranku ostrzeliwać palisady przyszłego *Światła*, (czy *Dnia?* Red.) twierdząc, że szkoda tych tysięcy, które dr. Czerwiński zamierza wyłożyć na dziennik, bo wszystko to pójdzie na marne, wszystko zostanie przetrwonione na dobre wino i szyk redaktorski. Świetne wykierowanie *Ojczyzny*, jej galopujące suchoty, pamiętne dobrze kasie — zdaje się — Związkowej Drukarni, tudzież mglistość charakteru i znana chwiejność przekonań głównych filarów przyszłego pisma, dostarczyły broni do tej partyzanckiej wyprawy. Kanonada trwała dość długo, a kaliber był ciężki. Nie żałowano nawet szykany, aby tylko... zwyciężyć.

Bombardowanie to skończyło się wesoło. Pewnego dnia Kraków począł się trząść od śmiechu: bo oto rozeszła się wiadomość, że przyszły fundator *Światła*, za przykładem Henryka Walezyusza, drapnął z pod Wawelu za góry i lasy!

Zropaczona redakcya zebrała się natychmiast na naradę... i wkrótce poduszki wagonów kolejowych miały przyjemność czuć potęgę reformatorów Europy, ścigających biednego doktora.

Z okazyi tej opowiadają nawet złośliwi, że p. Eminowicz, tutejszy naczelnik straży ogniowej, a przyszły administrator *Światła*, dowiedziawszy się o katastrofie, odprzągł natychmiast od sikawki czwórkę rysaków i również pomknął w pogoń za krotochwilnym synem Eskulapa. Ta szybkość działania nie okazała się bezowocną. Henryk Walezyusz został pochwycony i — podobno — znów przyrzekł być szczodrym.

Chciałbym zerwać kilka świeżych kłosów na polu wydawniczem. Niezbyt obfite. Głównym między nimi jest niedawno ogłoszony prospekt p. K. Bartoszewicza na tanie wydanie dzieł Juliusza Słowackiego. Wyjdą one w pięciu tomach, z portretem poety. Tom pierwszy ukaże się za dni kilka. Cena prenumeracyjna za całość 2 złr. 50 ct. Taniość europejska, gdyby jej tylko odpowiedziała równie europejska gotowość do kupna. Na słynną z książkowstrętu Galicyę liczyć trudno. Pięknie spisała się oaza nasza z dziełami Juliana Bartoszewicza! Gdyby nie Warszawa i nie Kongresówka, syn-wydawca byłby grubo przypłacił swoją miłość dla ojca, jaką okazał, nie oddając prac jego w ręce kupieckie.

Niedawno właśnie opuścił prasę II tom dzieł historyka, zawierający *Annę Jagiellonkę*. Są tu skreślone dzieje ostatniej latorośli Jagiellonów, siostry twórcy Unii, a żony wielkiego bohatera. W opowiadaniu znaczne miejsce zajmują Zygmunt August i Stefan Batory. Domowe życie królów naszych, ich stosunki rodzinne wiążą się z wybitnymi faktami życia politycznego narodu. Opowiadanie żywe i pełne wdzięku.

O innych książkach, jakie wysiedział Kraków w ostatnich czasach, niewiele jest do powiedzenia. Mógłbym je nawet pominąć; zaznaczam przecież choć ich ogólny charakter, aby dać wam pojęcie o smaku naszej strawy.

Otóż, na zbliżający się okres szampana i walca, jako *antidotum*, upieczony został jezuicki podpłomyk p. t. *Karnawał dusz pobożnych*; następnie stęknął jakiś trznadel w „kirowych“ *Pieśniach tułacza*, inny znów po rusku zakwilił w *Besede na jarmarku w Żaszkowi*, książeczce z pewnych względów przydatnej dla Galicyi, wreszcie, sypnął się grad kalendarzy, poprzedzony nudnemi koszalkami o *Dziennikarstwie warszawskiem*.

Prawdzic.

TEATR.

Livia Qintilla, dramat w 1 akcie St. Rzętkowskiego. — *Złoty Cielec*, komedya w 1 akcie St. Dobrzańskiego. Występy pani Hofmanowej.

Jeżeli bogactwo treści jest ważnym przymiotem dzieł sztuki niezależnie od ich rozmiaru, to niewątpliwie wznowiony niedawno dramat p. St. Rzętkowskiego ma więcej wartości, aniżeli niejedna pięcioaktowa, szeroko rozwodniona przez deklamacyę tragedya. Utwór ten zresztą znany już dawniej na naszej scenie, wywołał szersze rozbiory; dla tego też nie wdając się w szczegółowszą ocenę, na jaką bezwątpienia zasługuje, zaznaczymy tylko główne jego zalety.

Pomimo akcyi, zacieśnionej pozornie w atrium rzymskiej dziewicy, tkwi w nim jednak głębsza treść społeczna, która z dzisiejszego stanowiska czyni ten utwór żywotnym. Jego osnowa czysto miłosna, ale autor potrafił wyprowadzić na jaw grę czynników społecznych, opierając tragiczność swego utworu na starciu idealnych pragnień miłości z nieubłaganą zaporą przesądów. Surowy fatalizm, ciążący nad niewolnictwem, jest tu potęgą druzgocącą bohaterkę dramatu, która wbrew uprzedzeniom czasu ośmieliła się uznać w swym słudze godność człowieczą i nie skarcić haniebną chłostą za uczucie, jakiem ku niej zapłonął. Gdy się okazało następnie, że będąc córką niewolnicy i ona w myśl praw rzymskich musiałaby zgiąć dumną szyję w jarzmo służalcze, albo oddać rękę nienawistnemu zalotnikowi, który korzysta ze swej przemocy społecznej, szlachetna Livia truje się, wyzwalając swego ulubieńca.

Niewolnictwo jako motyw tragiczny starożytnego świata występuje tu w świetle nowszych, humanitarnych pojęć, nie spotykanych w utworach literatury klasycznej. Chociaż, jak to słusznie wykazała krytyka, treść moralna dramatu nie jest ściśle rzymską, jednakże z naszego widzenia nie stanowi ujmy utworu, oddychającego głęboką ideą uznania i poszanowania zdeptanych praw człowieka. Że autor położył pewne nowożytne piętno na swej pracy, to nas nie dziwi, gdyż zadaniem poezyi nie jest bynajmniej archeologiczna fotografia, a szczegółową wierność śmiało poświęcić może ona na ofiarę głębszych myślowych lub artystycznych założeń. Wobec tryumfu przemocy, która sprowadza upadek istot szlachetnych i tłumi najpiękniejsze ludzkie pragnienia, sympatya widza staje całkowicie po stronie pokonanych i uciśnionych a zwycięska siła przesądu ukazuje się złowrogą i antypatyczną. W naturze tej społecznej kolizyi leży także istota tragiczności dramatu p. Rzętkowskiego, który rzeczywiście bardzo blisko dociera do wyższej formy poezyi dramatycznej. Tutaj bowiem występuje w kształtach bardzo wyrazistych wielka sprzeczność pomiędzy indywidualnością ludzką a porządkiem społecznym, pomiędzy tem, jak człowiek działa, a jak dla dobra swojego zgodnie z ustrojem moralno-społecznym działać powinien. Sprzeczność występuje jako niepogodzona niczem przeciwstawność pragnień osobistych i możliwości społecznej, rozwiązująca się przez śmiertelną katastrofę. Dla tego też dramat p. R. jest w istocie tragedyą, chociaż pod względem formalnym nie odpowiada szkolarskim pojęciom o tym rodzaju poetycznym. Suma jego zalet literackich ujawnia się w dosadnem postaciowaniu akcyi i charakterów, w budowie prostej i jasnej, w logicznym rozwoju całości, a nareszcie w odrębności poetycznego stylu, który jest szlachetnym, poważnym a prostym. Piękny ten dramat ozdobił naprawdę repertuar Teatru Rozmaitości, tembardziej że pomimo trudności, jakie nastręcza wykonanie utworów czerpanych ze starożytnego świata, był grany dobrze. Główna w tej mierze zasługa należy się pannie Deryng, która w roli Livii, posługując się tylko w małej cząstce klasycyzmem, grała pięknie w sposób nowożytny, z rzeczywistą namiętnością, czuciem i siłą, niewyłączającą kobiecego wdzięku. Inne role umiejętnie i dosadnie narysowali pp. Ładnowski, Kotarbiński i Stromfeld, trzymając się także w pół klasycznym zakroju.

Prawdziwą biesiadę dobrego humoru przyniósł słuchaczom *Złoty cielec*, pyszna farsa Dobrzańskiego, osnuta na tle stosunków bankiersko-wiedeńskich. W sztuce tej, słusznie pochwalonej przez kapryśne plemię krytyków, talent zmarłego przedwcześnie autora wyraził najlepiej swą komiczną siłę, stworzył przepyszną, gryzącą a jednak bardzo wesołą satyrę na brudne zmateryalizowanie żydowsko-wiedeńskich giełdowiczów. Oryginalność sytuacyj, humor i werwa w skreśleniu figur, bogactwo dosadnego i trafnego dowcipu, kojarzy się na całość w swoim rodzaju świetną, którą ozłociła gra Żółkowskiego w roli Rozenblata — mistrzowska w każdym ruchu i w każdym szczególe. W innych rolach pp. Ostrowski, Szymanowski i Prażmowski grali typowo, z humorem, zwłaszcza w późniejszych przedstawieniach, podniósłszy odpowiednio efekt komiczny swych postaci.

W sferze sztuki aktorskiej mamy zanotować gościnne występy pani Hofmanowej, pierwszej artystki sceny krakowskiej, która dotychczas odtworzyła kilka ról w komedyach salonowych. Jako Zuzanna w *Ćwiartce papieru*, oraz Cypryanna w *Rozwiedźmy się* Sardou, pani Hofman ro-

zwinęła grę swobodną, lekką, którą cechowała, że tak powiemy naturalność subjektywna, wolna od wymuszoności, od sztucznych efektów teatralnych, a subjektywna dla tego, że kontury stworzonych przez artystkę postaci nie zawsze się godziły z rysunkiem autora. Po mistrzowsku grała pani Hofman rolę księżny w *Świecie nudów*, rozwinąwszy naturalność i werwę ujętą w karb prawdziwie pańskiej wytworności. Postać sędziwej a pełnej życia księżny była zresztą tak typową i tak misternie wykończoną, że porównać ją można z celnemi robotami francuskich miniaturzystów.

S. K.

LIBERUM VETO.

Potrzeba polskiej mądrości po niemieckiej szkodzie. — Labirynt naszych teatrów. — Co by w nich się działo. — Szczęście dyrekcyi. — Apostołowie herbaty, oraz stronnictwa barszczu i kawy. — Filantropia czy przemysł. — Niech żyje barszcz! — Ofiara i list p. W. Landaua. — Propozycya sądu honorowego i jego zadanie. — P. Siekiera *contra* p. Trejdosiewiczowi. — Przemytnictwo literackie. — Nadzieja ujrzenia sztuki ludowej bez ludu. — Przywilej dla „znanych złodziejów."

Mam niepłonną nadzieję, że po szkodzie wiedeńskiej polak stanie się mądrym i pomyśli o zabezpieczeniu swoich teatrów, przynajmniej warszawskich. Długo, bardzo długo odbywałem studya, zanim poznałem kręte drogi i bez przewodnika nauczyłem się trafiać do drzwi pożądanych. I dziś wszakże, gdyby w którymkolwiek z teatrów zgaszono światła i kazano mi nawet bez obawy ognia wydobyć się z galeryi na ulicę, zpewnością nie dokonałbym tego przez noc całą. A cóż dopiero, gdybym usłyszał huczące po za sobą płomienie i poczuł dławiący dym — Chryste elejson — prędzejbym się znalazł, mimo wrodzonej wstydliwości, w garderobie której z kapłanek Melpomeny i Terpsychory, niż na Teatralnym Placu. Onego czasu wodzono mnie kilkakrotnie za kulisy; gdy raz odważyłem się sam przebyć tę drogę, wpadłem do jakiejś pralni, przed którą jeszcze bardziej ostrzegam moich następców, niż Malczewski przed właźeniem na górę Mont-blanc. Tam przynajmniej wspaniały widok, a tu... za życia nie opowiem. Gdzie więc siatka korytarzów, przejść, zaułków, klatek płącze się nie do rozwikłania, tam o ratunku w razie nieszczęścia nawet myśleć nie można. Kto widział gmach Opery Komicznej w Wiedniu, ten przyznać musi, że on w porównaniu z naszym był ideałem prostoty, wygody i bezpieczeństwa. Jeżeli więc tam tysiąc ludzi udusiło się lub spaliło, to u nas wszyscy widzowie spłonęliby na popiół. I dla tego myśl zbudowania nowego teatru, którą sprzysiężeni krytycy chcieli dyrekcyi obrzydzić, nawet w ich oczach nabierze zapewnie teraz uroku. Z dwojga złego: czy zostać reżyserem i spalić się, czy nie zostać reżyserem i nie spalić się — największy tego urzędu amator chyba wybierze drugie.

Potrzeba przedsiewzięcia środków ostrożności u nas zwiększa się szczególnie wobec zapowiedzianych występów Sary Bernard i Modrzejewskiej, które zapełnią teatr obficie. Jakie to szczęście dla dyrekcyi, że Ringtheater nie spalił się o kilka tygodni wcześniej: nie sprzedałaby ona biletów nawet za zwykłe ceny. To też ciało teatralne powinno odbyć pielgrzymkę do Częstochowy i podziękować Bogu, że je uchronił od tego, co grozi teatrom wiedeńskim... od pustych sal, a raczej od pustych kas.

Katastrofa wiedeńska tak pochłonęła uwagę Warszawy, że już nikt w niej nie chce myśleć nawet o „samowarach ulicznych." Ich apostołowie wytężają wszelkie siły: piszą artykuły, egzekwują składki, odbywają narady, a pomysł filantropijny jak nie szedł, tak nie idzie. Dla czego? Dla tego, że *si duo faciunt idem, non est idem*. Gdy p. B. Prus, jak Mojżesz, uderzył piórem w skałę i wydobył z niej strumień składek dla pokrzepienia biednych rzemieślników, zdawało się jego naśladowcom, żo gdy oni uderzą w skałę, wytryśnie z niej... herbata. Doświadczenie przekonało ich: naprzód, że niełatwo być Mojżeszem, a powtóre, że uboga rzesza bardziej łaknie pożyczek niż herbaty. Społeczeństwo nie odczuło ważności tego gatunku filantropii, a prasa rozstrzeliła się na stronnictwa: herbaciane (*Kuryer Warszawski*), barszczowe (*Biesiada*), kawowe (*Echo*). Że powstaną jeszcze inne, przewidzieć łatwo. Bo każdy ma prawo pomyśleć sobie: jeśli komuś wolno protegować herbatę i zbierać na nią składki, dla czego mnie nie ma być wolno wywiesić sztandaru kartofli lub klusek? Zważywszy zaś, że ubogi robotnik, oprócz jedzenia i picia, potrzebuje także odzienia, kto wie, czy płodna w pomysły filantropia nie ogłosi składki na spodnie i buty? W całej tej sprawie jedynie mądrem słowem odezwał się — jeśli mnie pamięć nie zawodzi — *Tyg. Powszechny*, który radził dać pokój samowarom filantropijnym, a natomiast pobudzić przemysł i handel do zaopatrywania ludu w ciepłą strawę. Jeżeli wszakże mamy koniecznie karmić lud sposobem dobroczynnym i przyłączyć się do którejś z wielu partyj, to już wolimy z *Biesiadą literacką* stanąć pod chorągwią barszczu, niż z *Kuryerem Warsz.* dzwonić na herbatę. Jego bowiem upodobanie do niej, zdaje mi się, jest zbyt bezkrytycznie zapożyczone ze stosunków rosyjskich. Tymczasem zachodzi bardzo ważna różnica. W Cesarstwie herbata jest — rzec można — napojem narodowym i dla tego tam może służyć jako pożądany posiłek i jako artykuł odciągający od wódki. U nas jej lud nie pija i nie łaknie. Obierać więc ją jako środek pokarmowy wtedy, kiedy jest najmniej pożywną i jako powstrzymujący od pijaństwa, kiedy nie jest upowszechnioną, wydaje mi się pomysłem arcynieszczęśliwym. Niech panowie literaci nie sądzą, że ludowi smakuje to, co im smakuje. Każdy naród ma swoje gusty; niepodobna zaś spotkawszy gdzieś knedle lub mamałygę, chcieć karmić masy knedlami i mamałygą, lecz trzeba poznać, czem te masy się żywią i zaopatrzyć je w produkty swojskie. A zatem, gdybym musiał krzyczeć filantropijnie, krzyczałbym: niech żyje barszcz!

Niech żyje również... p. Landau — dał na cele dobroczynne rs. 1,000. Wkrótce potem ogłosił w Kuryerach list, w którym dowodzi: że 1) został znanym szerzej dopiero od chwili okradzenia go; 2) że od tej chwili ulega ciągłym potwarzom; 3) że pomimo wykrycia złodziei stracił 24,000 rs.; 4) że za ściganie winnych wydał rs. 6,500 albo też, jak czytamy kilka wierszy niżej — rs. 6,630; 5) że pięciu pretendentów żąda nagrody 10,000 rs.; 6) że wreszcie cześć swoją oddaje pod uznanie sądu honorowego i żąda od pism, ażeby go poparły w pozyskaniu na to obywateli. O ile mój słaby głos może mieć jakąkolwiek wagę, upraszam wszystkich, do których p. W. Landau zwróci się, ażeby mu usłużyli w tej sprawie. Jak mi się zdaje, będzie on żądał zawyrokowania w imieniu opinii publicznej: 1) czy pokaleczony przy rabunku, posądzony o zbrodnię i przez pięć miesięcy wraz z synem więziony Szmerek został przez p. Landaua dostatecznie wynagrodzony? 2) czy złodziejów odkryła policya, czy też kto inny? 3) w tym ostatnim wypadku czy p. Landau dotrzymał przyrzeczenia, zobowiązawszy się publicznie zapłacić 10,000 rs. za wskazanie winnych? Nic nie mam przeciwko temu, żeby ów sąd honorowy kazał wpisać p. Landaua do liczby świętych; sądzę wszakże, że to nie może nastąpić bez doprowadzenia „różnych" wydatków w liście wzmiankowanych do większej zgody. A teraz słówko osobistego zastrzeżenia. Z kilku naszych w tym przedmiocie uwag gotów p. Landau pomyśleć, że w jego postąpieniu upatrujemy coś niezwykłego. Bynajmniej. Jesteśmy przekonani, że na jego miejscu wielu zrobiłoby podobnie. I jeżeli prawdą jest, że giełda na niego się obruszyła, to zaiste niejeden z jej członków okazał fałszywą skromność.

Czy i prof. Trejdosiewicz zwoła sąd geologów dla rozstrzygnienia sporu ze studentem Instytutu Górn. p. J. Siekierą, który mu zarzucił plagiat? To, zdaje się, byłoby zbytecznem. Przytoczone bowiem w *Wędrowcu* ustępy z artykułu P. Kosińskiego w *Encyklopedyi Rolniczej* i z broszury p. T. „O różnorodności pokładów geologicznych w Królestwie Polskiem" usuwają wszelką wątpliwość. Szkoda, że tajemna pożyczka jest tak... jasną, szkoda nadewszystko dla uniwersytetu. Chwalimy natomiast prasę, że złapanego autora nie ukamienowała. O takiej bowiem kontrabandzie, jaka się odbywa w wielu naszych pismach, przemycających artykuły z prasy zagranicznej, prawa przyzwoitości międzynarodowej nie miały pojęcia. Jacy my jesteśmy mądrzy, a jacy dowcipni kosztem francuzów i niemców! Jeśli co od tej mądrości i dowcipu jest większem, to chyba tylko spokój, z jakim niektórzy literaci warszawscy podpisują swoje nazwiska pod cudzymi artykułami. Podziwiając wszakże tę cnotę, wolałbym jej w naszem dziennikarstwie tak często nie dostrzegać.

Tygodnik Illustrowany, prostując zdanie naszego korespondenta o konkursie krakowskim, tłomaczy, że „nie idzie tu wcale o wskrzeszenie ludu z epoki Sobieskiego, ale o napisanie sztuki ludowej, to jest takiej, którąby w układzie i przeprowadzeniu swojem dla pojęć ludu *dzisiejszego* była przystępną." Podziękowałbym szan. redakcyi w imieniu naszego korespondenta serdecznie za to objaśnienie, gdybym je cokolwiek rozumiał. Na nieszczęście sztuki ludowej bez ludu nie pojmuję, a o sposobie pisania dramatów z treścią nieludową dla ludu nie słyszałem. Tem bardziej zaciekawiony jestem nadzieją ujrzenia tego nieznanego mi tworu i nietylko nikogo od konkursu nie odmawiam, ale przeciwnie, wszystkich zdolnych wypełnić jego warunki zachęcam. W ten sposób *Prawda* zgładzi grzech swego korespondenta, bo zadanie konkursu pozostanie rozumnem, ona zaś niepojętną. Sztuka ludowa bez ludu... no, to prawdziwa będzie sztuka...

Ukradli, zabili, zranili, uciekli, złapani— oto jest koniugacya kroniki dni ostatnich. Jednostajność tę wszakże urozmaicają czasem niezwykłe wypadki. O jednym z takich donosi *Kuryer Codzienny*. Za Szmulowizną, na stacyi kolei Nadwiślańskiej postawiono przy podkładach stróża. W nocy przybywa złodziej — stróż go łapie. Na odgłos jednak swistawki rabusia zjawiają się jego towarzysze. Powstaje bijatyka, która ściąga służbę kolejową. Jeden ze złodziejów zostaje schwytany i odprowadzony do żandarma. Ten zapisuje nazwisko i... wypuszcza go jako „znanego złodzieja." Nazajutrz rabuś składa wizytę stróżowi i obiecuje mu za niegrzeczność... ukraść krowę. I twórcy zasady *neminem captivabimus nisi jure victum* przeraziliby się tą swobodą. Bo przecie był to złodziej „znany!"...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Ponieważ autor tego pragnie i ponieważ sprawa słuszna, więc list poniższy pomie-

szczamy z głębokiem przeświadczeniem, że jego słowa głuchoty Towarzystwa Kred. Ziemskiego—nie przebiją.

W Nr. 45 *Gazety Rolniczej* wysłuchałem gromy rzucone na *Kuryera Codziennego* za krytykę władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Nie znam przedmiotu tej nagany, ale mając kilka argumentów przeciwnej, śmiem upraszać redakcyę *Prawdy* o zamieszczenie niniejszej korespondencyi, na którą może *Gazeta Rolnicza* zechce grzecznie lub niegrzecznie odpowiedzieć.

Na jakich zasadach nie wolno poddawać rozprawie i krytyce wyników narad reprezentacyj z wyborów pochodzącej? O ile mi wiadomo, w krajach konstytucyjnych gdyby nie było opozycyi, trzeba by ją stworzyć, aby przez starcie się zdań prawda i rzeczywista korzyść ogółu wyszła na jaw. Czy dla tego nie wolno, *że Towarzystwo Kredytowe jest jedyną instytucyą cieszącą się jaką taką autonomią?* Sądzę, że to... tylko powiększa jego obowiązki. Co mi zresztą po instytucyi, która szkodę a nie pożytek ogółowi przynosi, co mi po maszynie wynalezionej przed 56-laty, która przez ten czas nie postąpiła wcale, a nawet się cofnęła, która i nadal stać będzie szczęśliwie, jeżeli jej opinia publiczna nie popchnie naprzód? Pytam, gdzie dowody i czyny wielkiej działalności władz Tow. Kredytow.? Czy poroniony projekt pożyczki melioracyjnej? Czy niedorzeczne prawo z 69 roku, które pokazało się niemożliwe w wykonaniu, a które — dodać wypada — nie zostało zmienione w Petersburgu, ale wróciło zatwierdzone tak, jak wyszło z Towarzystwa Kredytowego? Czy zrzeczenie się dla własnej wygody prawa zaprowadzania administracyj w dobrach zalegających raty lub niszczonych przez właściciela? Zrzeczenie to zachwiało cały kredyt hypoteczny prywatny, dając możność wywłaszczonemu właścicielowi niszczenia dóbr przed terminem sprzedaży i zmieniając zupełnie zasadę udzielanych pożyczek. Prawo bowiem z 25 roku opierało bezpieczeństwo pożyczki na całości gospodarstwa; po zmianie zaś — tylko na gołej ziemi. Również nielogicznym jest zwyczaj niepłacenia najemników i zarządzającego majątkiem za ostatni czas przed licytacyą. Pytam w tych warunkach: czy dobra po sprzedaży są gospodarstwem, czy też ziemią na parę lat nieużyteczną? Mogę dostarczyć urzędowych danych, iż kapitały lokowane na jednej trzeciej części rzeczywistej wartości dóbr spadły z hipoteki dla tego, że dawny właściciel, przyszedłszy zdaleka, chciał gospodarować tak, jako się gospodaruje w guberniach Cesarstwa, przez ostatnie lata wypuszczał wszystkie grunta włościanom w dzierżawę, mocą której zabierali oni zboże ze słomą, budynki zaś na dwu folwarkach rozprzedał, 15 włók łąk zagonowo irygowanych zaniedbał i zupełnie zniszczył. Towarzystwo na podanie wierzycieli o zaprowadzenie administracyi odpowiedziało, że zrzekło się tego przywileju. W nowem prawie dozwolono komornikowi zająć na satysfakcyę długu niehypotecznego nawet inwentarz roboczy i to w czasie siewów. Czy Towarzystwo wystąpiło do władz o zmianę tak rujnującego przepisu, zarówno dla właściciela, jak i dla wierzycieli hypotecznych, czy wystąpiło przynajmniej o wyłączenie inwentarza podanego w opisie dóbr, a zatem zostawionego temuż Towarzystwu? Termin subhastacyj został skrócony, ale to nie ożywiło kredytu hypotecznego dla wadliwych form w procedurze klasyfikacyjnej. Czyż nie do władz Towarzystwa należy robić podanie o zmianę praw wpływających na zmiejszenie kredytu? Towarzystwo bowiem założone zostało w celu ułatwienia pożyczki hypotecznej, zatem wszystko wchodzące w ten zakres winno przez jego władze być brane pod rozwagę. Kraj od zniesienia Towarzystwa Ubezpieczeń rządowego wystawiony jest na wyzysk towarzystw akcyjnych, opłata od ubezpieczenia ogniowego niesłychanie droga, od gradobicia — niemożliwa. Władze Towarzystwa wzywane były przez stowarzyszonych o utworzenie przy niem działu asekuracyi rolnej, na wzajemności opartej. Mam honor zapytać: gdzie i kiedy robiły starania o uzyskanie odpowiedniej koncesyi? Niech się jasno wytłomaczą, bo złośliwi twierdzą, że starań tych nie robiono, bo dożywotni koryfeusze dyrekcyi należą osobiście do towarzystw akcyjnych. Był czas, kiedy można było wiele przeprowadzić i może jeszcze nie minął; ale trzeba na to energii i czynu, a nie bawienia się wynajdywaniem nowych wyrazów dla ochrzczenia zbioru praw. Pytam nakoniec: czy słusznym jest, aby ciało zbiorowe, z wyborów pochodzące, debatujące nad sprawą tak żywotną, jak prawo o Towarzystwie Kredytowem, nie ogłaszało protokółów posiedzeń, a jeżeli tego zrobić nie może (o czem jednak śmiem wątpić) to jest droga pośrednia, aby ogół przez dzienniki o czynnościach powiadomić. W konkluzyi radbym, na poprzednich danych oparty, aby projekty przed posłaniem do zatwierdzenia uległy dziennikarskiemu rozbiorowi. Nie dzieląc przekonania *Gazety Rolniczej*, że obowiązkiem obywatelskim jest milczeć, choć się źle dzieje, chcę być *enfent terrible* i jawnie w imię praw obywatelskich o potrzeby kraju się upominam.

W. Trepka.

Z ostatniego zarzutu winienem Towarzystwo Kredytowe Ziemskie usprawiedliwić. Po co ono ma uchylać prasie swoją zasłonę, kiedy ta prasa wcale zajrzeć nie ciekawa, a przynajmniej tego nie żąda? Oprócz naszej *Prawdy*, *Tygodnika Rolniczego* i *Kuryera Codziennego*, żadne inne pismo nie objawiło pretensyi do kontrolowania działań tej instytucyi. A nawet niewiele się one nią zajmują. Wobec takiej obojętności, nic dziwnego, że sami ziemianie, bezpośrednio interesowani, chwytają za pióro. Radzi jesteśmy tej opozycyi, bo ona przekonywa, że ziemianie ci nie są bezmyślną gromadą, ulegającą pokornie swym delegatom.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 grudnia.

„Książę Bismark potrzebuje tylko nogę wyciągnąć, ażeby się przez nią każdy minister niemiecki przewrócił" — tak przed kilku dniami określiła władzę swego pana *Kölnische Zeitung*. Smutne to westchnienie wydarł jej z piersi wypadek Windhorsta i Bittera. Na posiedzeniu komisyi, obradującej nad wcieleniem Hamburga do niemieckiego związku celnego, przywódca centrum dotknął zastrzeżonych traktatami praw innych mocarstw do ujść Elby. Nazajutrz „żandarm wieszający" — jak go nazywają gazety niemieckie — p, Pindter, przekręciwszy słowa Windhorsta, wystawił mu w swym organie szubienicę za zdradę i zamach na niepodległość Niemiec. Oburzony Windhorst zainterpelował ministra skarbu, do którego swą uwagę poprzednio zwrócił; p. Bitter oświadczył, że *Nordd. d. All. Zeitung* istotnie dyskusyę sfałszowała i przyrzekł przesłać jej sprostowanie. Ale, niestety, książę Bismark wyciągnął nogę... p. Pindter odmówił ministrowi przyjęcia artykułu i na Windhorsta lunął nowym potokiem oszczerstw. Członkowie partyi środkowej, mszcząc się za obrazę swego przywódcy, nie przybyli na proszony obiad do kanclerza, za co p. Pindter znowu ich wykpał w swym błocie. O co chodziło w tem gorszącem zajściu? O spotwarzenie Windhorsta i oderwanie go od jego stronnictwa. Dotąd atak w drugiej połowie się nie udał, ale charakterystycznym jest sposób, w jaki ks. Bismark walczy ze swymi przeciwnikami. Po prostu szczuje ich swoim dziennikarskim Tirasem. Kilka dni krążyła wieść, że dotknięty odmową kanclerskiego organu minister Bitter podał się do dymisyi. Ale wiadomo, że ministrowie niemieccy są cierpliwi. Ważniejszą od tej jest inna pogłoska, mianowicie, że Bismark, widząc niemożność zwyciężenia obecnego sejmu, zamyśla dla swej polityki wewnętrznej stworzyć kozła, wicekanclerza, a sam cofnąć się do spraw zagranicznych. Wtedy niezawodnie Niemcy odetchną, ale Europa stękać znacznie.

Chwila obecna nie sprawia jej wszakże wielkich niepokojów. Francya wyprobowywa swoje nowe ministeryum, Austrya wobec strasznej katastrofy przerwała posiedzenia Rady Państwa, Włochy kłócą się z Niemcami o papieża, tylko trzęsienia i wybuchy w Irlandyi nie ustają. Są to jednak zwykłe zjawiska na tym wulkanicznym gruncie.

Rozprawy w Hadze nad ograniczeniem przysięgi (jeden z głosów o tym przedmiocie podaliśmy w poprzednim numerze *Prawdy*) potoczyły się z wielkim krzykiem. Wniosek liberalnych, żądający zniesienia tego obowiązku, został odrzucony, natomiast przyjęty inny, proponujący rewizyę ustawy.

Długo poszukiwany poseł francuski przy dworze rosyjskim wreszcie się znalazł. Będzie nim hr. Chandordy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Komisya reformy zarządów administracyjnych rozpoczęła posiedzenie w Petersburgu dnia 2 b. m. Do składu komisyi weszły następujące osoby: prezydujący Kochanow; członkowie senatorowie: Połowcew, Kowalewski, Szamszin i Mordwinow; towarzysze ministrów: Gotowcew, Markow, Friesch, Nikolajew i Kulomzin; delegat ministeryum dworu Waganow; delegat drugiego wydziału kancelaryi cesarskiej Markus. Na pierwszem posiedzeniu odczytano rzut oka na dzieje rozwoju instytucyj prowincyonalnych.

— Sprawa jen. Mrowińskiego została rozpoczętą w dniu 7 b. m. Z dwunastu sędziów przysięgłych 8 prawosławnych i 4 innych wyznań. Posiedzenie otwarto o 11 minut 40. Na ławie podsądnych zasiedli: pierwszy jenerał Mrowiński, w mundurze jeneralskim, ma lat 53, wydaje się jednak nieco młodszym; muskularny, twarz i usta drżą mu nerwowo, jest silnie wzruszony. Obok siada p. Teglew, ubrany w czarny surdut cywilny, ma lat 55. Trzeci wchodzi p. Fursow, w czarnym fraku bez orderów. Świadków powołano do sprawy 26; w tej liczbie trzy kobiety, były naczelnik miasta Petersburga jenerał-major Fiodorow, kilku komisarzy, urzędnicy policyi, stróże i inni. Przedtem nim przystąpiono do odczytania aktu oskarżenia, polecono publiczności opuścić salę sądową. Sprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. W d. 8 b. m. posiedzenie sądu odbyło się w domu Mengdena, na rogu Newskiego Prospektu i Małej Sadowej, w suterenie, w której znajdował się sklepik z serami Kobyzewa i skąd urządzono znany podkop.

Oskarżeni skazani zostali na utratę praw szczególnych i 3 lat osiedlenia na Syberyi.

— Nietylko procesy polityczne, ale wszelkie wojskowe mają się odbywać przy drzwiach zamkniętych.

Obserwatoryum wileńskie, według *Now. Wremieni*, ma być zniesione.

Odczyty. Dr. Bruner probował w Resursie Kupieckiej objaśnić zjawisko hypnotyzmu, p. Slosarski mówił o oddychaniu zwierząt i roślin.

Nominacye. Wicedyrektorem departamentu policyi państwowej mianowany został b. prokurator Żukow.

— Dyrektorem Instytutu w Puławach, na miejsce Dobrowolskiego, p. Sowietow, prof. uniwersytetu petersburskiego.

Przemysł, handel i komunikacye. Ministeryum finansów roztrząsa obecnie przez charkowski oddział Towarzystwa Technicznego podjętą kwestyę obsadze-

nia urzędów nadzorców akcyznych przy fabrykach cukru przez wychowańców fizyczno-matematycznego wydziału uniwersytetów lub Technologicznego Instytutu—przez takich tylko wszakże, którzyby posiadali i odpowiednią praktyczną znajomość rzeczy. Wnosząc do ministeryum takie podanie, Towarzystwo Techniczne miało na względzie tę okoliczność, że obecnie wyznaczani do kontroli fabrykacyi cukru urzędnicy akcyzy nie posiadają odpowiednich kwalifikacyj; a przy nowem opodatkowaniu cukru, obowiązującem od 15 lutego b. r. konieczną jest teoretyczna i praktyczna znajomość sposobów fabrykacyi.

— Machina gadająca pomysłu Fabera, pokazywana i podziwiana poprzednio w Niemczech i Francyi, znajduje się obecnie w Petersburgu, gdzie w tych dniach robiono z nią doświadczenia wyłącznie w obecności dziennikarzy. Przyrząd ten zasadza się na sztucznem naśladowaniu narzędzi głosu i ich ruchów u człowieka.

— Ministeryum skarbu, w skutek nieustającej spekulacyi towarzystw kolejowych na fundusze skarbu, tudzież w skutek nieustannego żądania zaliczek, to na wzmocnienie środków przewozowych kolei, to w celu umorzenia długów bieżących, to na pokrycie niedoboru z eksploatacyi, przyczem zwykle wskazując zły stan finansowy drogi, grożono bankructwem—postanowiło poddać ścisłej rewizyi sprawę umorzenia długów kolejowych, oraz środków rządowych na wypadek niewypłacalności którejkolwiek kolei żelaznej. Szczegółowe wypracowanie właściwego projektu prawa polecono prezesowi komisyi kolejowej hr. Baranowowi.

Nauki. Dnia 1 b. m. miało znowu miejsce trzęsienie ziemi w Zagrzebiu, które mocno zaniepokoiło miasto. Mianowicie dzieci opanował taki przestrach, że je musiano ze wszystkich szkół poodsyłać do domu. Nauczyciele opowiadają, że niektórym dzieciom z przestrachu puściła się krew nosem, inne poupadały na kolana płacząc.

Statystyka. Według ostatniego spisu ludności, dokonanego w państwie pruskiem, mieszka tam 17,645,462 ewangelików, 9,205,136 katolików, 363,790 starozakonnych, 42,517 innych wyznań, 22,006 bezwyznaniowców, w ogóle 27,278,911 głów.

Sprostowanie. W nr. 49 (w Kronice) *Prawdy* rzeźbiarz Weloński został przez pomyłkę zaliczony do artystów rosyjskich. Jest on bowiem polakiem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Sobol. w Tobolsku. Żądany numer był już Panu wysłany. Wysyłamy ponownie.

Czytelniczce. Współpracownik nasz nie chwalił cnót, ale wiedzę estetyczną. Przypuściwszy zaś nawet, że tytuł „krzywdziciela“ należał się zabitemu słusznie, trudno zgodzić się na sąd... z dubeltówki. Opisany przez panią fakt postaramy się zużytkować.

P. Ludw. Monk w Petersburgu. Za niedostarczenie dodatku odpowiedzialną jest tylko księgarnia, której pieniądze pańskie złożone i która go od nas otrzymała. Wyjątkowo posyłamy Panu żądane arkusze, nie zobowiązując się nadal do pokrywania braków księgarni.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza: K. Narutowicz z Penzy rs. 2 kop. 50; L. Bębnowski ze Lwowa kop. 50; W. Łopuszyński ze Smiły rs. 3; Panie K. S. i M. M. rs. 1. (Odesłane do ogólnego funduszu *Tyg. Ilustrowanemu*).

OGŁOSZENIA.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Sprostowanie. W nrze poprzednim, str. 592, szp. 2 (*W handelku*) w. 9 zam. *Jabiś*, czyt. *Jakiś*, str. 597. szp. 3, w 20 zam. *litery* czyt. *bilety*.

Do dzisiejszego numeru *Prawdy* dołączają się prospekty: *Tygodnika powszechnego* dla prenumeratorów miejskich, a *Wydawnictw Gebethnera i Wolffa* dla prowincyonalnych.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Декабрь 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.